

ISSN 1505-8476

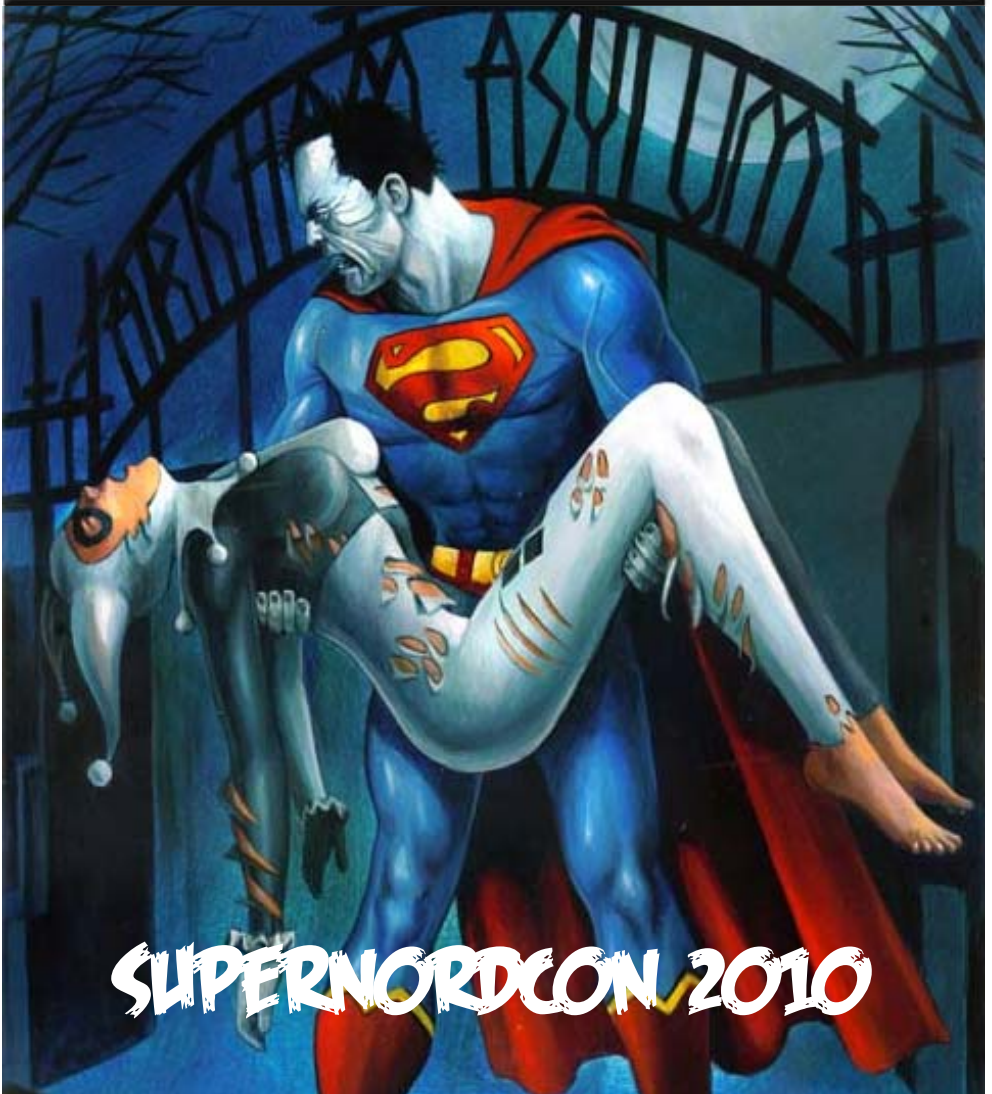
informer

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI



nr 259

listopad-grudzień
2010



SUPERNORDCON 2010



Konkurs fandumu Bronsia i Górczasa



W oparach absurdalnie gęstego dymu



Artur wśród kobiet swego życia



Żyrafka i zebry



Chciałabym mieć taką talię!



Manię antysupermeńską poparł Lobo



Gry i zabawy ludu białostockiego



Dzień bez podlizania (się) Tandi, to dzień stracony



Sesja zdjęciowa w NajPrzejsiu



Kolejka do słynnego pokoju 302



Superbohaterowie są zmęczeni



PRACOWICIE JAK NIGDY

No, z tym „nigdy” to może lekka przesada (litera „n” była mi potrzebna do tytułu) – ale już od naprawdę dawna nie miałem tak twórczych i owocnych tygodni (w GKF-ie i poza nim). Myślę tu o działaniach poza stałymi obowiązkami zawodowymi oraz domowymi.

Pierwszą sprawą była adiustacja, po części w łącie ekspresowym tempie, trzech prac dyplomowych poświęconych szeroko pojętej fantastyce. Dwie z nich dotyczyły fantazy: wątków mitologicznych w sadze Sapkowskiego oraz postaci występujących w tym gatunku na przykładzie literatury obcej i polskiej. Trzecia praca, której mówiąc szczerze nigdy (z powodów głównie finansowych) nie spodziewaliśmy się opublikować – to analiza ewolucji superbohaterów komiksu amerykańskiego. Więcej o „AF” #15 pisze Naczelny „Anatomii Fantastyki” w głębi tego numeru „Informatora”, możecie ją też nabyć w klubowym dziale kolportażu; ja skupię się na dwóch innych aspektach. Jako że osobiście preferuję raczej komiksy europejskie (te groteskowe i te artystyczne) – o heroicznym komiksie made in USA, zwł. o jego współczesnych przemianach, poczytałem z autentyczną ciekawością. Poza tym wspomniany powyżej Ogan wywodził jakimś psim śwędem nader sensowną drukarnię – i dlatego mogliśmy rzucić na księgarski rynek tak wypasione niszowe wydawnictwo (choć kolejnych numerów z barwnymi ilustracjami wewnątrz już raczej nie uda się wynegocjować). Dzięki tej samej drukarni – barwne okładki naszego comiesięcznego periodyku możecie podziwiać już nie tylko w wersji PDF; ale to z kolei załatwił w tej samej drukarni Papier. Po raz kolejny wyszło na to, iż tworzymy w GKF-ie całkiem zgrany zespół... A jeśli dalej pójdzie wszystko tak dobrze – to następne numery „Anatomii Fantastyki” będziecie mogli kupować już w przyszłym roku! Kolejną sprawą jest kwestia nowego logo serii „AF”: część redakcji doszła bowiem do pruderyjnego wniosku, iż narysowane ongiś przez jednego z naszych dyżurnych Grafików gołe cycki (w pierwotnym projekcie były i inne szczegóły anatomiczne) niezbyt konwenują z rangą prac naukowych – i należałoby zaprojektować jakieś nowe logo (nb. na ten nieformalny konkurs też przygotowałem swoją graficzno-literniczą propozycję).

Inną kwestią było nagle przygotowanie dwóch komiksowych wystaw: zbiorowej i indywidualnej. Zbiorowa jest dziełem rzeszowskiego oddziału IPN, mówi zaś o wzajemnych relacjach sztuki komiksowej i Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Przygotowana w, często ostatnio spotykanej, formie zadrukowywanych paneli – stanowi interesującą podróż w czasie. Może nie jest jakimś kompleksowym kompendium (chyba brakuje np. wybrzeżowych pasków Christy, peerelowskich dowcipów Mleczki, aluzyjnych przygód Funky’ego Kowala) – wyciąga jednak z niebitych rzeczy zapomniane lub mało znane (surrealistyczne opowiadki z jedynym słusznym morałem czy undergroundową w formie działalność wydawniczą GKF-u). Trochę się nabybiałem planz na tę wystawę: chciałem wyszczególnić co bardziej aluzyjne plansze *Wampiurów* (m.in. piwo od 13-tej, komplet wideokaset z filmami Poręby, bony PKO, Euzebiusz jako oficer tajnych służb, mumia-biurokratka, reglamentacja dźwignią handlu) oraz rzeczy narysowane w tamtej epoce, ale nie mające cienia szansy na publikację w żadnym przechodzącym przez cenzurę fanzinie (z dziejącą się w klimatach ówczesnego Afganistanu jednoplanszową parodią *Czasu Apokalipsy* Coppoli na czele). Indywidualna wystawa zaś – to pasaż plansz A3 (*Wampiurs Wars & varia*) na tegorocznym Nordconie; tu ograniczyłem się tylko do ogólnych sugestii – większość inwencji pozostawiając Organizatorom konwentu.

Spotkała mnie też czysto publicystyczna przygoda w miejscu zamieszkania: udzielenie wywiadu dla wejherowskiej biblioteki publicznej, w ramach jakiegoś projektu internetowego. Mówiłem o rozmaitych, nie tylko fantastyczno-artystycznych, sprawach; ale im dalej od tego wydarzenia – tym większy odczuwam niedosyt. Wywiad ten był w swej konwencji totalnie spontaniczny, bez wcześniejszej znajomości pytań czy chociażby scenariusza – i potwierdziła się stara zasada, że najlepsze odpowiedzi przychodzą do głowy dopiero na schodach. A może tym właśnie ma się różnić rozmowa na żywo od wypunktowanej i cyzelowanej publicystyki?

URODZINY

Przyszłoroczni Jubilaci Nasi!

Drodzy Styczniowi Urodzeńcy!

W Dniach Waszych Świąt życzymy Wam po prostu

Prawdziwie Jak Najlepszego

- o czym tylko sobie zamierzycie;

zapamiętajcie bowiem na zawsze:

Prezent Jest Najważniejszy!

Redakcja „Info”

(z częściowym wyłączeniem naczelnego)

01 Łukasz Świat	07 Michał Jakubiec	17 Rafał Lewanczyk
02 Adam Cetnerowski	08 Agnieszka Bohosiewicz	21 Jarosław Piotrowski
Ewa Szadkowska	10 Mirosław Malak	Konrad Klepacki
Lucyna Szmaglik	Jan Plata-Przechlewski	Helena Strokowska
06 Bohdan Kałużny	15 Waldemar Igielski	22 Marcin Grzybowski
Witold Siekierzyński	16 Radosław Łagan	26 Eugeniusz Dębski

A oto prezenty dla Was - wg preferencji:



**...a Wszystkim Członkom GKF-u
i Czytelnikom „Informatora”
składamy najserdeczniejsze
życzenia**

**Wesołych Świąt i Do Siego Roku
(Już bez żadnych układanek)**

Zarząd & Redakcja

LARPOWISKO

Larp: Sąd

06.11.2010

Z dyariusza JWP Zygmunta Korszewskiego
20 September 1640r.

Dziś rozpocząłem sądy graniczne. Pierwszą sprawą był spór o to, kto zabił najlepszego ogara JWP Kropickiego. Oskarżony o to był JWP Podczaszecki.

Sąd rozpoczął się z dużym opóźnieniem, gdyż wiele znaczących person nie przybyło na miejsce. Po godzinie rozpoczęliśmy bez nich. Sprawa była trudna do rozstrzygnięcia, gdyż było wiele dowodów za oraz niemało przeciw winie pana Podczaszyckiego świadczących. W dodatku wiele było innych spraw do załatwienia, wszak nieczęsto zdarza się sąsiadom spotkać w jednym miejscu. Oprócz osób związanych z sądem przybył również Francuz – pan Gilbert d’Alcastel. Ten jeno burdy a pojedynki wszczynął i porządne damy bałamucił. A skoro mowa o damach – przybyło ich niewiele, bo tylko dwie. Obie nigdy jeszcze na spotkaniach takich nie były, jednak radziły sobie jakby do tego jeno się urodziły.

Sąd szybko przerodził się w biesiadę, na której jedliśmy wyborne ciasta i piliśmy najprzedniejsze trunki. Wszystko zakończyło się ogólną wesołością – mimo kilku zatargów, z których jeden szablą został rozwiązany. Na szczęście obaj adwersarze przeżyli. Na sam koniec moja córka oraz panna Magdonaldówna zostały poproszone o rękę (oczywiście za zgodą ojców, to jest moją i pana Magdonalda) przez zacnych kawalerów.

Gdy sprawiedliwy wyrok został przeze mnie ogłoszony i podpisany, wszyscy rozjechali się do swych włości.

Michał "Jerzy" Malara



Larp: **Masakra u księżnej!**

13.11.2010

Jak donoszą nasze źródła coroczny bal u księżnej Mariki zakończył się prawdziwą masakrą!

Kapitan straży miejskiej, Heinrich Pommelt, odmówił składania zeznań w tej sprawie. Jak jednak donosi służba, które obsługiwała szlachetnych gości, mamy tam co najmniej osiem trupów – w tym obydwie dwórki księżnej, znane z niezwykłej urody i intelektu.

Mistrz Kolegium Cienia i osobisty doradca królowej udaremnił akcję podłych kultystów Slaanesha mających na celu splugawienie dworu książęcego. Baldwin Hoff został ścięty w trybie natychmiastowym, a jego ciało wystawiono na przestrożę nad główną bramą Talabheim. Niech to będzie przestroga dla każdego wroga Boskiego Imperium Sigmara!

Swoje życie zakończył też Wielki Komtur Zakonu Białego Wilka. Jak donosi rzecznik prasowy księżnej – Robert Dorf oddał swe życie w walce z kultystami, chroniąc księżną własnym ciałem. Niektórzy służący donoszą, jakoby nie była to do końca prawda, ale wiadomo, że to tylko spiszek wrogów mający zniszczyć dobre imię bohatera. Krążą plotki, jakoby jego pomnik miał stanąć w przyszłym roku na północnym placu handlowym.



Wielki generał kislevski Sasza Saharowicz, wrócił do swego kraju. Jak donoszą nasze źródła był on wściekły. Czyżby groziła nam wojna z wielkim północnym krajem? Miejmy nadzieję, że skończy się na tylko oficjalnych przeprosinach z dworu księżnej.

Co do samej księżnej udała się ona na wakacje do swojej posiadłości na dalekim południu Imperium. Jak rzekł jej rzecznik, stan zdrowia księżnej uległ znacznemu pogorszeniu i musi ona odzyskać siły. Ma ona dostęp do najlepszych lekarzy Imperium, w związku z czym możemy liczyć na jej szybki powrót.

Do tego czasu miastem ma zarządzać przysłany przez Altdorf namiestnik. Mamy nadzieję, że jego usługi nie będą nam potrzebne długo, a kochana księżna powróci do nas jak najszybciej.

Pełną listę ofiar podamy w kolejnym numerze. Mamy nadzieję, że taka sytuacja nigdy więcej nie będzie miała miejsca. Ofiary, mające na celu uzbieranie pieniędzy na prezent dla księżnej, można oddawać w jej sekretariacie. Wszyscy życzymy jej szybkiego powrotu do zdrowia!

Nathan

„Miesięcznik Talabheim”

ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

Styczeń 2010

**AGENT JFK. NIE MA KRWI BEZ OGNI (JFK. NENÍ KRVE BEZ OHNĚ)
– MIROSLAV ŽAMBOCH, JIŘÍ W. PROCHAZKA**

Wydawca: Fabryka Słów

Data wydania: 7 stycznia 2011

RUDA SFORA – MAJA LIDIA KOSSAKOWSKA

Wydawca: Fabryka Słów

Data wydania: 7 stycznia 2011. Wznowienie

WIELKA KSIĘGA SCIENCE FICTION. 01 (THE MAMMOTH BOOK OF SCIENCE FICTION)

Wydawca: Fabryka Słów

Data wydania: 7 stycznia 2011

NAMIESTNICZKA (ВЫБОР НАМЕСТНИЦЫ) – WIERA SZKOLNIKOVA

Wydawca: Prószyński i S-ka

Data wydania: 10 stycznia 2011

CIEŃ SUKUBA (SUCCUBUS SHADOWS) – RICHELLE MEAD

Wydawca: Amber

Data wydania: 11 stycznia 2011

ZAGUBIONY (LOST) – SARAH PRINEAS

Wydawca: Jaguar

Data wydania: styczeń 2011

CIEŃ NOCY (NIGHTSHADE) – ANDREA CREMER

Wydawca: Amber

Data wydania: 11 stycznia 2011

**NAKRĘCANA DZIEWCZYNA / POMPA NUMER SZEŚĆ (THE WINDUP GIRL/ PUMP SIX
AND OTHER STORIES) – PAOLO BACIGALUPI**

Wydawca: MAG

Data wydania: 12 stycznia 2011

SZALEŃSTWO ANIOŁÓW (A MADNESS OF ANGELS) – KATE GRIFFIN

Wydawca: MAG

Data wydania: 12 stycznia 2011

W CIENIU KŁĄTWEY (SHADOWLAND) – ALYSON NÖEL

Wydawca: Wydawnictwo Dolnośląskie

Data wydania: 12 stycznia 2011

PRZENAJSWIĘTSZA RZECZPOSPOLITA – JACEK PIEKARA

Wydawca: Fabryka Słów

Data wydania: 14 stycznia 2011. Wznowienie

WAMPIR Z M-3 – ANDRZEJ PILIPIUK

Wydawca: Fabryka Słów

Data wydania: 14 stycznia 2011

TAJEMNY KRĄG. KSIĘGA 2 (THE POWER) – L.J. SMITH

Wydawca: Amber

Data wydania: 18 stycznia 2011

WAKACYJNE NOCE KITTY (KITTY TAKES A HOLIDAY) – CARRIE VAUGHN

Wydawca: Amber

Data wydania: 18 stycznia 2011

GWIAZDA ŚMIERCI (DEATH STAR) – MICHAEL REAVES, STEVE PERRY

Wydawca: Amber

Data wydania: 20 stycznia 2011

NIEWIDZIALNY PIĘRŚCIEN (THE INVISIBLE RING) – ANNE BISHOP

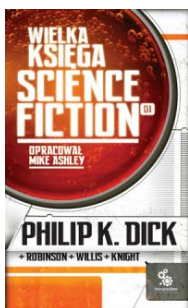
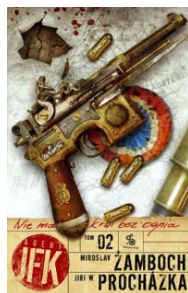
Wydawca: Initium

Data wydania: 20 stycznia 2011

PAMIĘĆ ZIEMI (THE MEMORY OF EARTH) – ORSON SCOTT CARD

Wydawca: Prószyński i S-ka

Data wydania: 20 stycznia 2011. Wznowienie



KRAWĘDŹ ŻELAZA. TOM I (OSTRÍ OCELI) – MIROSLAV ŽAMBOCH

Wydawca: Fabryka Słów

Data wydania: 21 stycznia 2011. Wznowienie

WIELKA KSIĘGA SCIENCE FICTION. 02 (THE MAMMOTH BOOK OF SCIENCE FICTION)

Wydawca: Fabryka Słów

Data wydania: 21 stycznia 2011

FLOTA ŚWIATÓW (FLEET OF WORLDS) – LARRY NIVEN, EDWARD M. LERNER

Wydawca: Solaris

Data wydania: 24 stycznia 2011

ALIEDORA (АЛИЕДОРА) – NIK PIERUMOW

Wydawca: Solaris

Data wydania: 25 stycznia 2011

DEMI-MONDE. ZIMA (WINTER) – ROD REES

Wydawca: Amber

Data wydania: 25 stycznia 2011

MIECZ CIEMNOŚCI (SWORD OF DARKNESS) – SHERRILYN KENYON

Wydawca: Amber

Data wydania: 25 stycznia 2011

POTĘGA PÓLNOCY (MIDNIGHT RISING) – LARA ADRIAN

Wydawca: Amber

Data wydania: 25 stycznia 2011

DEFINITYWNIE MARTWY (DEFINITELY DEAD) – CHARLAINE HARRIS

Wydawca: MAG

Data wydania: 26 stycznia 2011

POTOMEK KUSZIELA (KUSHIEL'S SCION) – JACQUELINE CAREY

Wydawca: MAG

Data wydania: 26 stycznia 2011

WILKOŁAK. KRWIOŻERCZA BESTIA (BLOOD WOLF) – STEVE FEASEY

Wydawca: Nasza Księgarnia

Data wydania: 26 stycznia 2011

VATRAN AURAIÓ – MAREK S. HUBERATH

Wydawca: Wydawnictwo Literackie

Data wydania: 27 stycznia 2011

WOŁANIE Z MROKU (DARKNESS CALLS) – MARJORIE M. LIU

Wydawca: Amber

Data wydania: 27 stycznia 2011

NORWESKI DZIENNIK. TOM 1: UCIECZKA – ANDRZEJ PILIPIUK

Wydawca: Fabryka Słów

Data wydania: 28 stycznia 2011 Wznowienie

Z MIŁOŚCI DO PRAWDY (ИЗ ЛЮБВИ К ИСТИНЕ) – KARINA PJANKOWA

Wydawca: Fabryka Słów

Data wydania: 28 stycznia 2011

POCAŁUNEK ARCHANIOLA (ARCHANGEL KISS) – NALINI SINGH

Wydawca: Dwójka Bez Sternika

Data wydania: styczeń 2011

ZBŁĄKANY ANIOŁ (MISGUIDED ANGEL) – MELISSA DE LA CRUZ

Wydawca: Jaguar

Data wydania: styczeń 2011

STRZAŁA KUSZIELA (KUSHIEL'S DART) – JACQUELINE CAREY

Wydawca: MAG

Data wydania: styczeń 2011 Wznowienie

WYBRANKA KUSZIELA (KUSHIEL'S CHOSEN) – JACQUELINE CAREY

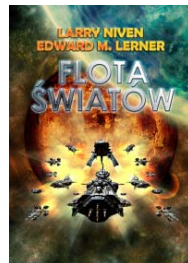
Wydawca: MAG

Data wydania: styczeń 2011 Wznowienie

WCIELENIE KUSZIELA (KUSHIEL'S AVATAR) – JACQUELINE CAREY

Wydawca: MAG

Data wydania: styczeń 2011 Wznowienie



Na podstawie serwisów:
Esensja.pl, Katedra.nast.pl, Solarisnet.pl
 przygotował Janusz Piszczek

NIUSY

WORLD FANTASY AWARD 2010



Powieść: *The City & The City* China Miéville; Nowela: *Sea-Hearts* Margo Lanagan; Opowiadanie: *The Pelican Bar* Karen Joy Fowler; Antologia: *American Fantastic Tales: Terror and the Uncanny: From Poe to the Pulps/From the 1940s to Now* Peter Straub (wydawca); Zbiór opowiadań: *There Once Lived a Woman Who Tried To Kill Her Neighbor's Baby: Scary Fairy Tales* Ludmilla Petrushevskaya; Twórca: Charles Vess; Nagroda specjalna (professional): Jonathan Strahan – za redakcję antologii; Nagroda specjalna (non-professional): Susan Marie Groppi – za *Strange Horizons*.

wg: www.gildia.pl

„MAŁY WYBUCH” W WIELKIM ZDERZACZU HADRONÓW

Kolejny przełomowy eksperyment naukowców z CERN. Tym razem udało się odwzorować warunki, jakie panowały podczas Wielkiego Wybuchu. Eksperyment nazywany „małym Wielkim Wybuchem” polegał na zderzeniu jonów ołowiu rozpędzonych nieomal do prędkości światła. Pobito też kolejne ziemskie rekordy temperatury i gęstości materii.

jpp

„WIELKI WYBUCH” W „KOPERNIKU”

5 listopada, plenerowym widowiskiem w reżyserii Petera Greenawaya i Saskii Boddeke, otwarto – budowane od kilku lat (w „niasach” też śledziliśmy tę inwestycję!) – warszawskie Centrum Nauki „Kopernik”; jednocześnie chcemy przypomnieć, iż – znacznie mniejsze, oczywiście – centra naukowej rozrywki mamy także w Gdańsku i w Gdyni.



jpp

SMUTNA KOŃCÓWKA MIESIĄCA



Staramy się nie czynić z niusów rubryki z nekrologami znanych ludzi, ale tych dwóch odejść nie mogliśmy nie odnotować... W ostatnich dniach listopada 2010 roku zmarli dwaj ludzie filmu: Irvin Kershner (reżyser m.in. *Imperium kontratakuje* – najbardziej ponurej, do czasów *Zemsty Sithów*, części gwiazdnowojennej sagi) oraz Leslie Nielsen (znany nie tylko z wielu zwirowanych komedii – ale również z roli komandora Johna J. Adamsa w klasycznym obrazie SF *Zakazana planeta*).

redakcja

OTWARCIE ROKU?

W pierwszy weekend wyświetlania w polskich kinach sprzedano 395 tys. biletów na pierwszą połówkę ekranizacji ostatniej części *Harry'ego Pottera*; kolejne rekordowe otwarcia w naszym kraju to czwarty *Shrek* oraz Burtonowska parafraza *Alicji w krainie czarów*.

jpp

ZDAŻYŁ JĄ WYPATRYĆ

Michał Kusiak, student Wydziału Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej UJ, odkrył komętę należącą do, przechodzącej bardzo blisko Słońca, grupy Kreuza; nb. to jego 102 odkrycie dokonane w ramach międzynarodowego projektu SOHO Sungrazing Comets. Kilka dni później rzeczona kometa, za sprawą naszej dziennej gwiazdy, przestała istnieć.

jpp

KOMIKSOWY PRL



Od 22 listopada do 22 grudnia wokół siedziby rzeszowskiego Oddziału IPN została udostępniona duża i zawierająca wiele unikatowych plansz wystawa obrazująca komiks w PRL i PRL w komiksie; scenariusz, opisy i kształt graficzny – Marcin Krzanicki, konsultacja merytoryczna – Wojciech Jama. Na główną część ekspozycji składa się ponad czterdzieści banerów; w pod koniec, przy komiksowym undergroundzie, znajdują się dwa poświęcone *Wampiurum* i fanzinom GKF-u.

red.

WYWIADOWCY Z E-KAPSUŁY

Pod internetowym adresem <http://www.biblioteka.wejherowo.pl/ekapsula> dostępne są wywiady z ludźmi kultury związanymi z północną częścią Kaszub. Wśród rozmówców pani dyrektor znaleźli się np.: Roman Drzeżdżon (gość „horrorowego” Nordconu), Piotr Schmandt (autor *Spraw inspektora Brauna*), Jan Plata-Przechlewski (naczelnym „Informatora” mówi o fanzinach, komiksach, literackiej i filmowej fantastyce, Lemie, *Remusie* oraz o Wejherowie, reaktorach jądrowych, „Solidarności”, dialogu społecznym w prawodawstwie unijnym).

red.

W ŚLADY RYBCZYŃSKIEGO?

Film Marka Skrobeckiego *Danny Boy* oraz *Animowana historia Polski* Tomasza Bagińskiego znalazły się wśród 33 filmów spełniających kwalifikacje niezbędne do oscarowej kategorii Najlepszy Krótkometrażowy Film Animowany. Spośród tych pozycji członkowie Akademii wybiorą najpierw dziesiątkę, a następnie finałową piątkę filmów, które będą rywalizowały o Oscara.

wg: www.gildia.pl



POLSKI DOKUMENT O POLSKIM KOMIKSIE

Ruszyły zdjęcia do filmu dokumentalnego *W ostatniej chwili – o komiksie w PRL* realizowanego dla 2 programu TVP (przy wsparciu Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej). Realizatorzy planują zakończyć pracę nad filmem w czerwcu przyszłego roku. Pamiętając zarzuconą przymiarkę Konrada Szołajskiego sprzed kilkunastu lat – pozostaje trzymać kciuki, by tym razem nie skończyło się na niewykorzystanym materiale...

jpp

TRÓJMIEJSKIE SPOTKANIA Z AUTORKAMI FANTASY

We wrzeszczańskiej filii WiMBP odbyło się spotkanie autorskie z Ewą Białołęcką (notabene prowadzone przez Krzysztofa Papierkowskiego); z kolei Miejska Biblioteka Publiczna w Sopocie zorganizowała spotkanie autorskie z Anną Brzezińską (jednocześnie współwłaścicielką Agencji Wydawniczej Runa).

wg: www.gildia.pl

SIELSKOŚĆ Z DRESZCZYKIEM

W PiMBP w Wejherowie ogłoszone zostały wyniki najnowszej edycji „Powiewu Weny”. Tegoroczny konkurs literacki był nie tylko jubileuszowy (piąty), ale też poszerzony (z obszaru powiatu na całe województwo). Tradycyjnie natomiast miał on charakter otwarty: skierowany jednakowo do ludzi pióra i całkowitych debiutantów, rozegrany w dwóch kategoriach (poezja / proza) i w dwóch grupach wiekowych (poniżej / powyżej 20 lat). Tegoroczne hasło przewodnie brzmiało „Słowianie, my lubim sielanki” – ono właśnie miało posłużyć autorom za inspirację (uroki życia na wsi oraz piękno słowiańszczyzny, także tej z południa kontynentu). W jedną z I nagród zdobyła, nowelą *Abakadabra*, Lucyna Kurpiewska – której *Opętanie* (II miejsce sprzed dwóch lat) opublikowaliśmy w ostatnim literackim numerze „Informatora”, zaś *Antykwariusz* (I miejsce sprzed roku) czeka w naszym archiwum na stosowną okazję do druku. Tegoroczny, nieco „wampiryczny”, utwór – znaleźć można już teraz na internetowych stronach wejherowskiej biblioteki.

jpp

KOMIKS I ILUSTRACJA W JEDNYM STAŁY DOMU

Wernisaż wystawy ilustracji i komiksu Aleksandry Spanowicz – planowany na 19 listopada i w ostatniej chwili odwołany z uwagi na totalną awarię elektryczności w całym mieście – odbył się w jednej ze stylowych sal wejherowskiego ratusza dokładnie tydzień później. Magiczne prace artystki (prawie sto, w większości barwnych, plansz) oglądać można było przez dwa tygodnie, w godzinach otwarcia Urzędu Miejskiego; całkowicie bezpłatnie – podobnie jak znajdujące się na tym samym piętrze stałe ekspozycje makiet miasta i kalwarii.

wg: www.wejher.info



COŚ SIĘ WYŁANIA Z MROKU...

Henry South, odpowiedzialny za efekty specjalne w *Wilkołaku* i czwartych *Piratach z Karaibów*, ogłosił rozpoczęcie prac nad projektami graficznymi do prequela *Obcego*.

wg: www.gildia.pl

JESZCZE JEDNO IMIĘ ŻYCIA

Amerykańscy uczeni, we współpracy z NASA, odkryli bakterię budującą białka i inne kluczowe substancje nie na fosforze (jak wszystkie znane dotąd ziemskie organizmy) – ale na (podobnym doń, lecz toksycznym) arsenie. To sensacyjne odkrycie nie tylko każe zdefiniować po raz kolejny pojęcie życia, ale też coraz bardziej oddala nas od klasycznego – i od dawna już nieaktualnego – podziału istot żywych na tylko dwa królestwa: roślin i zwierząt.

jpp

NOWY FILM TWÓRCY TRIA Z BELLEVILLE

Za sprawą Hagi Films od dziś na ekranach polskich kin gości znakomita animacja Sylvaina Chometa *Iluzjonista*. To – napisana ongiś przez mistrza francuskiej komedii Jacquesa Tati – historia starzejącego się artysty, którego paryska kariera dobiegła końca.

wg: www.gildia.pl

DWIE TRZECIE CZĘŚCI FILMOWE

To oczywiście *Artur i Minimki: Dwa światy* oraz *Opowieści z Narnii – Podróż „Wędrowca do Świt”*.

jpp



AUDIOTYTUS

Do książki *Tytus, Romek i A'Tomek: Wyspy Nonsensu* dołączona jest płyta CD ze słuchowiskiem w wykonaniu znakomitych aktorów: Arkadiusza Jakubika (Tytus), Rafała Mohra (Romek), Bartłomieja Topy (A'Tomek), Krzysztofa Globisza (Profesor T. Alent) oraz Ksawerego Jasieńskiego (narrator) – legendy radiofonii, spikera radiowego i telewizyjnego.

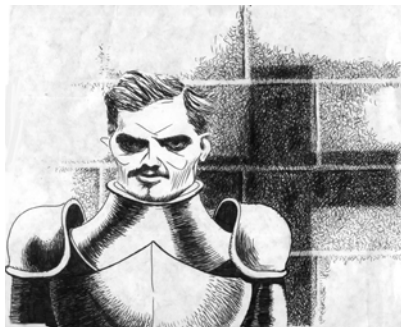
wg: www.gildia.pl



Szczegóły w następnym numerze Informatora GKF

Okruchy Ogana

Korespondencja nr 15



Narodziny gwiazdy?

Tegoroczna Nagroda im. Janusza Zajdła za opowiadanie fantastyczne trafiła do mało znanego (informacje o nim są nader skąpe, nawet jego daty urodzenia nie znalazłem) pisarza mieszkającego obecnie na Śląsku – Roberta M. Wegnera. Podejrzewam w nim zawodowego oficera (lub emerytowanego żołnierza), a już na pewno maniaka wojskowości, gdyż większość opowiadań z jego debiutanckiego tomu (560 stron!) jest przesączona duchem militaryzmu i miniwykładami z taktyki pododdziałów lądowych. Zresztą, na mój gust, sposób opisanie organizacji i funkcjonowania meekhańskiej armii jest nazbyt współczesny i słabo przystaje do realiów świata fantasy. Co prawda zawodowe armie istniały już w starożytności, ale tak dalece skomplikowaną strukturą (system pułkowo-brygadowy) i rozwiniętą biurokracją chyba nie mogły się pochwalić. A zresztą, nawet i gdybym się mylił, to wcale nie zmienia mojej oceny: nadmierny realizm w prezentacji spraw wojskowych nie jest wartością samą w sobie i nie podnosi atrakcyjności utworów. Potwierdza jedynie to, co napisałem w poprzedniej korespondencji: twórczość Wegnera zalicza się do nurtu historycznego realizmu we współczesnej fantasy (a zatem sytuowałaby się gdzieś w okolicy George’a R. R. Martina, jakby nie patrzeć, wysoko). Nie jest to jednak moja ulubiona konwencja...

Drugą cechą opowiadań Wegnera, zresztą nieodłącznie związaną z jego wojskowym konikiem, jest ich męskość – i to męskość rozumiana najprościej. W naszym roz-

mętlanym świecie opowieści o honorze i bohaterstwie stają się czymś rzadkim, a ich publikowanie to zajęcie równie wstydliwe jak bycie nosicielem choroby wenerycznej. Ale ten bezwstyd „Opowieści z meekhańskiego pogranicza” też jest jakiś taki nie do końca na miejscu. Co tu dużo ukrywać: wynika on po prostu z pewnych twórczych ograniczeń Autora, który wydaje się nie móc wznieść ponad konkretność opisu. Brak mu takiej sprawności pióra, która nadałaby snutom przez niego historiom pewien szlif liryzmu, lekkości, słowem – baśniowego uroku. Bez tej sentymentalno-romantycznej nutki stają się opowiadania Wegnera nadto chropawe, zwłaszcza czytane w takim stężeniu.

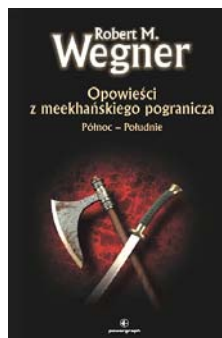
Nie wiem jeszcze, jak poradził sobie Autor z tym problemem w drugim tomie, ale nie omieszkać się o tym przekonać. Muszę bowiem uczciwie stwierdzić, że (pomimo wymienionych powyżej usterek) nowele Wegnera to literatura dobrej próby. Zwykło się określać taką prozę mianem solidnego rzemiosła – i nie jest to bynajmniej ujma. Historia literatury zna liczne wypadki, że tak napisane dzieła przetrwały próbę czasu, podczas gdy twory awangardowych artystów pokrywa kurz w bibliotekach.

Co zaś do zadanego w tytule pytania, to moja odpowiedź musi być na razie wymijająca. W dziedzinie męskiej fantasy znacznie większe osiągnięcia odnotował chociażby Feliks W. Kres, a przede wszystkim Anna Brzezińska w sadze o zbroju Twardokęsku. Nie może też iść Wegner

w zawody z Sapkowskim, który jest znacznie lepszym gawędziarzem, świetnie grającym nastrojem: to poważnym, to znów lirycznym, a przede wszystkim mistrzowsko kraszającym fabuły niewymuszonym humorem. W dziedzinie oryginalności wykreowanego świata nie dorasta też do pięt Annie Borkowskiej. Żeby zawalczyć o miejsce w galerii sław polskiej fantazy musiałyby Wegner napisać teraz jakąś trylogię w czterech, a najlepiej pięciu tomach – i wtedy się zobaczy.

I jeszcze jedna kwestia na zakończenie. Narzekałem, że meekhańskie opowiadania za bardzo trzymają się stylistyki historycznego realizmu. Nie brakuje w nich oczywiście magii, czarowników i władających mocą kapłanów, ale nawet ta dziedzina życia została w Meekhanie uporządkowana i skrępowana więzami skojarzonych z żywiołami aspektów.

Dopiero w ostatnim opowiadaniu zbioru („Zabij moje wspomnienia”) poznajemy niemalże potencjał niezwykłości tego świata. Pojawia się kobieta-zagadka, niezbadane fenomeny magicznych mocy i prawdziwie transcendentna groza. Oto najlepsza opowieść temu, znacznie ciekawsza od uhonorowanego Zajdlem „Wszyscy jesteśmy Meekhańczykami”.



Traktat historiozoficzny (między innymi)

„Wieczny Grunwald. Powieść z za końca czasów” Szczepana Twardocha ukazała się jako 3. tom serii Narodowego Centrum Kultury „Zwrotnice czasu. Historie alternatywne”. W przeciwieństwie do poprzednich liczy ledwie 200 stron, ale myliły się ten, kto uważa, że to mało. Książka jest tak przesycona treścią, że gdyby chcieć ją z niej w całości wycisnąć, mielibyśmy powódź sensów, która pochłonięłaby całą współczesną polską fantastykę. Nie ma jednak obaw: nie jest moją rolą (ani tego skromnego felietonu), by się na taką rzecz porywać. Zresztą, była już powieść Twardocha chwalona w „CzF” przez Maćka Parowskiego, w najnowszym „F&SF” też pisze się o niej pozytywnie, zatem ja – skromny felietonista, nie będę się tu ścierał z zawodowymi krytykami.

„Wieczny Grunwald” jest z całą pewnością opowieścią fantastyczną, ale nie podejmowałbym się kwalifikowania jej do jakiegś konkretnej odmiany tematycznej, bo to ani fantazy, ani sf, ani horror, ani nie wiadomo co by to jeszcze mogło być. Myślę, że czytanie jej jako główno-

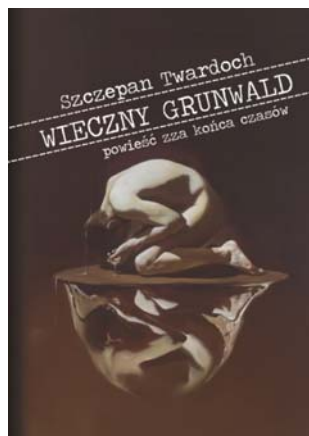
nurtowej prozy awangardowej też byłoby możliwe. W konstrukcji tekstu na plan pierwszy wybija się zdecydowanie postać głównego bohatera – bo to jego zmagania, na różnych polach (najczęściej bitewnych, ale także rozgrywających się wewnątrz jego umysłu), śledzimy przez całą narrację. Takie nieustanne sam na sam z jedną postacią, zwłaszcza kiedy zdaje nam ona sprawę ze swego życia (na szczęście nie jest to strumień świadomości, ale świadomie uporządkowana spowiedź), byłoby nużące, gdyby nie dodatkowe impulsy pobudzające uwagę czytelnika.

Dla mnie najciekawszym była historiozoficzna (a może metapolityczna) refleksja na temat relacji między Niemcami a Polakami. Paszko traktuje ich jako jedyne prawdziwe narody w Europie, owoce romantycznych uniesień (zrodzone z poczucia wspólnoty), a nie politycznych kalkulacji (wyrosłych na wierze w moc urzędów państwa) – jak chociażby ukonstytuowane w epoce rozumu narody francuski i amerykański. Niemcy (Germania) to Krew i Ziemia (pierwiastek męski),

a Polska (Matka Polska) to Duch i Ciało (pierwiastek kobiecy). Nieustannie toczona między nimi wojna przypomina miłosny uścisk. Nie możemy bez siebie żyć, ale i ze sobą też nie potrafimy. Czy kiedyś to się zmieni? Czy da się uregulować rachunki krzywd między nami? Nie wiem; i Twardoch też nie wie. Rozwiązanie, które podpowiada w zakończeniu opowieści, jest dobre w sam raz dla jej bohatera (ewentualnie pojedynczego człowieka), ale nie dla całych narodów (wspólnot). Niemniej samo zdefiniowanie relacji polsko-niemieckich jako afektu Germanii i Matki Polski na pewno może wywołać kon-trowsersje w wielu (o ile nie we wszystkich) środowiskach po obu stronach Odry. Ale Twardoch – dawny współpracownik „Frondy”, a obecnie mesjanistycznego pisma „Czterdzieści i Cztery” (które założyli radykalni frondyści po kolejnych zmianach w redakcji macierzystego tytułu) – do skandali zapewne przywykł i się ich nie lęka. A to, że nasza obecna sytuacja polityczna czyni temat aktualnym i nośnym... no cóż, już taki nasz poplątany los.

W jego powieści należy jeszcze koniecznie zwrócić uwagę na język narracji, a dokładniej – jeden z jego nurtów. Narracja w „Wiecznym Grunwaldzie” jest bowiem silnie spolifonizowana; tzn. mimo że narrator jest jeden, to jednak żyje równocześnie w różnych czasach i – opowiadając o nich – posługuje się językiem

właściwym tymże. Dlatego często pojawia się polszczyzna z przełomu XIV i XV wieku z jej barwną i dziś mocno egzotyczną leksyką. Dodatkowo, ponieważ jest to powieść „zza końca czasów”, Autor z lubością posługuje się diachroniczną formą czasu zaprzeczonego, tworzoną jeszcze za pomocą czasownika posiłkowego „jest” (zrobiłby jeśm). Kto ma niską tolerancję na tego typu eksperymenty – przeżyje niewątpliwie godziny mąk podczas przedzierania się przez staropolskie frazy (a około 50% powieści napisane jest w ten sposób). Mnie się ten zabieg jednak podobał, chociaż brakowało mi w czasie lektury studenckich notatek z gramatyki historycznej oraz „Chrestomatii”, by co jakiś czas sprawdzić Twardocha, czy aby sobie z Czytelnika nie dworuje...



Arcydzieła malarstwa niderlandzkiego i flamandzkiego w Gdańsku

Jedynie do końca roku będzie można oglądać w Muzeum Narodowym w Gdańsku wystawę prezentującą obrazy niderlandzkich i flamandzkich mistrzów z kolekcji Narodowego Muzeum Brukenthala w rumuńskim Sibiu. Skuszeni rzadką okazją obejrzenia ciekawej wystawy wybraliśmy się na nią całą rodziną na początku grudnia.

Największym rozczarowaniem jest liczba prezentowanych dzieł – ledwie 36. Tę sła-

bość rekompensują za to nazwiska twórców, które powinny zelektryzować każdego w miarę wyedukowanego absolwenta liceum. Na pewno do takich artystów należą Pieter II Breughel, Jan van Eyck i Hans Memling (którego ołtarz „Sąd Ostateczny” jest najcenniejszym dziełem sztuki znajdującym się w Gdańsku). Ale nawet obrazy mniej znanych artystów nie odbiegają rażąco mistrzostwem i precyzją wykonania od dzieł gigantów.

Co uderza widza od razu – to rozmiary. Kto by się spodziewał wielkoformatowych panoram, ten na pewno przeżyje szok. Wymiary większości dzieł nie przekraczają 0,5 m, ale tym bardziej należy chylić czoła przed malarzami, którzy na tych skrawkach płóci, desek, a nawet miedzianych blach nie bali się przedstawiać scen myśliwskich czy rodzajowych z udziałem całych miasteczek.

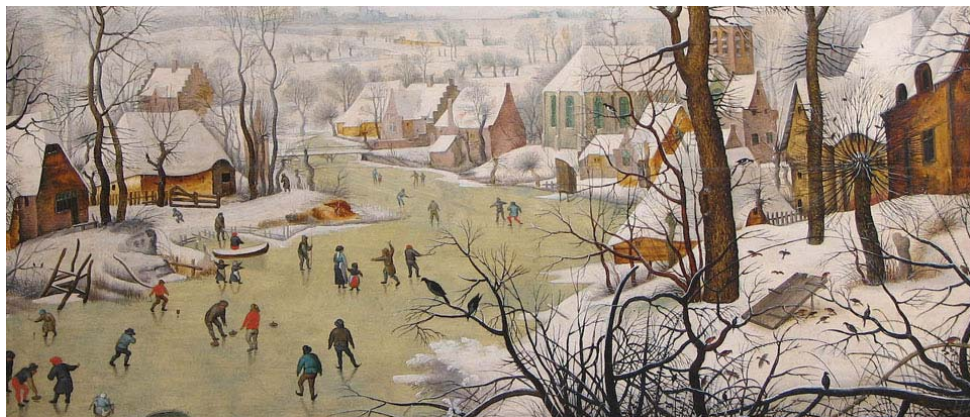
Nie będę udawał, że jestem znawcą sztuki i że potrafię się o niej kompetentnie wypowiadać, ale – jak papież ze skeczu Monty Pythona – wiem, co mi się podoba. I akurat tak się składa, że malarstwo flamandzkie i niderlandzkie lubię. Z czasów studenckich pamiętam wykłady z historii sztuki, w czasie których o tym malarstwie mówiło się najwięcej (może ze względu na Vermeera – ulubionego malarza poetów). Gdybym miał wrażliwość, wiedzę i talent Kaczmarek do słownego odmalowywania dzieł sztuki – wizytę w gdańskim muzeum mógłbym podsumować jakimś poetyckim tomikiem. A tak mogę jedynie namawiać wszystkich,

którzy jeszcze nie byli na tej wystawie, by po Świętach znaleźli chwilę czasu i się na nią wybrali, bo naprawdę warto.

A' propos Świąt. Wiernym i Przypadkowym Czytelnikom „Informatora”, Członkom GKF oraz innych klubów fandumu polskiego i światowego chciałbym z okazji Narodzin Pańskich życzyć Zdrowych, Spokojnych i Fantastycznych Świąt oraz Wszystkiego Najlepszego w Nowym Roku!



Wasz wielkokacki korespondent



Ps.

Odwiedzając w tym roku Powązki Wojskowe tradycyjnie już zapaliłem znicz przy grobie Jacka Kaczmarek. Prawdziwe dreszcze przeszły mi po karku, kiedy zobaczyłem datę jego śmierci: 10.IV. Zdążyłem przez te sześć lat o tym fakcie zapomnieć, ale teraz już będę pamiętał.



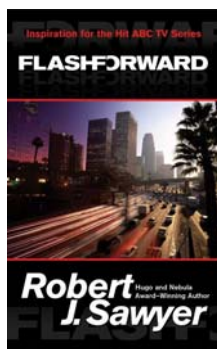


137 sekund



Pamiętacie opowiadanie Stanisława Lema pod powyższym tytułem? Opisuje ono zjawisko „jasnowidzenia” sieci komputerowej w granicach takiego właśnie przedziału czasowego. Nie jest to jednak żadna prekognicja, tylko – że się tak wyrażę – rozciągnięcie długości chwili zwanej TERAZ do jej maksymalnej możliwej wartości. Dlaczego właśnie takiej? Chcąc to jakoś wyjaśnić narrator powołuje się na pitagorejczyków, u których 137 jest *symbolem podstawowych własności Kosmosu*, oraz na pewną zagadkę współczesnej nauki.

Otóż dla fizyków liczba 137 jest bezwymiarową stałą struktury subtelnej, otrzymaną przez pomnożenie stałej Plancka i prędkości światła, a następnie podzielenie przez kwadrat ładunku elektronu. Co prawda dokładniej jest to 137,0359... (według danych z 1998 r.), ale kto by się tam przejmował ułamkami (na pewno nie fizycy!). Albert Einstein wyraził kiedyś pogląd, że teorie fizyczne nie powinny zawierać arbitralnych stałych uniwersalnych, co tłumaczy dążenie do wyjaśnienia sensu liczby 137, a nawet obsesję na tym punkcie wielu fizyków (Wolfgang Pauli, Paul Dirac, czy też astronom Sir Arthur Eddington). Nadaje to – podobnie jak u pitagorejczyków – liczbie 137 charakter nieomal mistyczny, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę, że Pauli zmarł w szpitalu w sali o tym właśnie numerze.



Jeśli do liczby 137 dodamy jednostkę czasu (sekundy), stała przestanie być bezwymiarowa, straci więc swój magiczny charakter. Tym niemniej co najmniej jeszcze jeden pisarz SF użył tego samego przedziału czasu w swoim utworze. Chodzi o Roberta J. Sawyera i jego powieść *FlashForward*, której polskie wydanie zapowiada Solaris na luty przyszłego roku. Tu dla odmiany autor podpira się żydowską kabałą: w alfabecie hebrajskim każda litera reprezentuje też pewną liczbę, a wartość numeryczna słowa *kaballah* (otrzymana przez sumowanie) wynosi $100+2+30+5$, czyli właśnie 137. W tej sytuacji trudno ocenić, czy 137 sekund to hołd oddany Lemowi. Wydaje się to jednak możliwe z uwagi na określenie *ogród o rozwidlających się ścieżkach*, które z kolei jest niewątpliwym ukłonem w stronę Borgesa.

Po tym przydługim wstępie przejdźmy wreszcie do rzeczy, czyli omówienia serialu *Flash Forward: Przeblysk jutra*, emitowanego w USA od 24 września 2009 do 27 maja 2010 r. (w Polsce parę miesięcy później przez stację AXN). Daty są tu o tyle ważne, że serial opowiada o wydarzeniach rozgrywających się pomiędzy 6 października 2009 a 29 kwietnia 2010, a więc nieomal w czasie rzeczywistym. Pierwsza data to *zaćmienie (black out)*, czyli trwająca 137 sekund utrata przytomności wszystkich ludzi na Ziemi, druga to dzień, do którego przeniosła się w tym czasie ich świadomość.

W wyniku tego wydarzenia na całym świecie ginie w różnych wypadkach około 20 milionów ludzi, co jest całkiem imponującym ludobójstwem. Oskarża się o nie najpierw Chińczyków, bo była u nich noc, więc ponieśli najmniejsze straty. Okazuje się jednak niebawem, że zamieszani są w to amerykańscy fizycy, chociaż niekoniecznie tylko ci z nich, którzy odkryli karty na początku serialu.

Najciekawszym wątkiem jest, rzecz jasna, tytułowy Przebłysek Jutra. Jeśli rzeczywiście był to moment prekognicji (o czym świadczy najmocniej zgodność różnych wizji ze sobą), to co począć z wolną wolą? Czy człowiek może się czuć odpowiedzialnym za to, czego jeszcze nie popełnił? A co z tymi, którzy nie doświadczyli żadnej wizji? Czy to znaczy, że umrą w ciągu najbliższego półroczka? Dla większości przebłysek staje się więc prawdziwym przekleństwem, niezawinionym fatalizmem; dla mniejszości – źródłem nadziei i początkiem nowego życia; a dla nielicznych – wyzwaniem, by do zrealizowania wizji za nic nie dopuścić.

Czy można jednak zmienić przyszłość, którą się ujrzalo? Oto jest pytanie, na które odpowiedź wyłania się stopniowo w trakcie kolejnych odcinków. Za to od początku bije w oczy sposób, w jaki zbiorowa wizja przyszłości wywiera presję na teraźniejszość. Oto detektyw Mark Benford widzi, że w przyszłości prowadzi śledztwo w sprawie przebłyску – zostaje więc ono rozpoczęte. Oto zbrodniarz wojenny ujrzalo siebie na wolności – negocjuje więc z Markiem z pozycji faktów już (w przyszłości) dokonanych. Oto sąsiad Benforda spotyka w wizji córkę, którą uznano za zmarłą, zaczyna więc energiczne poszukiwania. Oto dr Bryce Varley widzi siebie żywym (wbrew nowotworowi, który miał go wkrótce zabić) – i to w towarzystwie kobiety swojego życia, Japonki, której jeszcze nie poznał; jedzie więc do Japonii. Itp., itd... Para głównych bohaterów, Mark i jego żona, Olivia, odczuwają wyrzuty sumienia z powodu swoich wizji: on – bo znowu pije, ona – bo widzi siebie z innym mężczyzną, którego dopiero później poznaje jako fizyka Lloyd Simcoe, ojca jej pacjenta i jednego z mimowolnych sprawców przebłyску. Skutkuje to wzajemną podejrzliwością i rozdźwiękiem między małżonkami, przez co ich wizje nabierają (mimo silnego oporu obojga) charakteru samospełniającej się prognozy.



Emocjonalne rozterki pierwszoplanowych bohaterów to podstawowy motyw i główny atut serialu. Drugim jest zagadka przebłyску, jego niewyjaśnionych przyczyn i motywów jego sprawców. Będąc zagmatwaną do niemożliwości wpisuje się doskonale w schemat znany np. z serialu *Fringe*, a fakt, że twórcy seriali wsiedli ostatnio na tego konika, sam w sobie cieszy mnie niezmiernie. Jednak co najmniej równie emocjonujące jest kibicowanie zmaganiom postaci serialu z ich przeznaczaniem – tym bardziej, że wybitnie wymagające role zostały tu odegrane na wybitnie dobrym poziomie.

W rolach drugoplanowych spotykamy kilku starych znajomych, np. Petera Coyote w roli prezydenta USA. Z kolei Dominic Monaghan, *vel* hobbit Merry, gra Simona Camposa, genialnego fizyka, erotomana i niziołka w jednej osobie. Wreszcie James Callis, znany z roli zbzikowanego geniusza Gaiusa Baltara (*Battlestar Galactica*) – tutaj, przeciwnie, wciela się w postać genialnego bzika, czyli sawanta Gabriela McDow. Człowiek ten pamięta wszystko i potrafi to narysować, przy czym jego wersja „prawidłowej” teraźniejszości różni się znacznie od tego, co widzimy na ekranie

(np. Oliwię nazywa uparcie *panią Simcoe*). To jedna z bardziej intrygujących postaci serialu i prawdopodobnie klucz do rozwikłania przez FBI zagadki przebłytku. Na wyjaśnienie przyjdzie jednak trochę poczekać, bo zamknięcie serialu pozostawia wiele tajemnic (i tak naprawdę jest otwarciem nowego cyklu, czyli po prostu drugiego sezonu). Uzbrójmy się więc w cierpliwość, bo z pewnością warto przeżyć to po raz drugi.

Andrzej Prószyński

P. S. Interesujące w zaćmieniu jest to, że nie obejmuje zwierząt (tym samym fizyka łączy się tu jakoś z psychiką). Stąd surrealistyczny obraz kangura, który kica sobie pomiędzy wrakami samochodów i powoli budzącymi się ludźmi. Inną ciekawą sprawą jest różnica między powieścią a serialem jeśli chodzi o dystans przebłytku: w powieści ludzie widzą, co stanie się za ponad 21 lat, a nie za pół roku. Zmiana miała bez wątpienia na celu zdynamizowanie akcji i wywołanie złudzenia „deptania po piętach czasowi rzeczywistości”. Nawiasem mówiąc: dzień widziany w przebłytku (29 kwietnia) to data urodzin Roberta J. Sawyera, autora książkowego pierwowzoru.



Flash Forward: Przeblysk jutra (FlashForward), serial TV, 2009-2010

ocena FilmWeb: 7,8 (bardzo dobry), IMDb: 8,1

twórcy serialu: David S. Goyer, Brannon Braga

wg powieści *FlashForward* Roberta J. Sawyera (Tor 1999), wyd. polskie: Solaris 2011

czas trwania: 23 x ok. 40 min.

Obsada (od lewej): Jack Davenport (Lloyd Simcoe, fizyk), Zachary Knighton (dr Bryce Varley), Peyton List (Nicole Kirby, wolontariuszka), Sonya Walger (dr Olivia Benford), Joseph Fiennes (Mark Benford, detektyw FBI), John Cho (Demetri Noh, partner Marka), Christine Woods (Janis Hawk, FBI), Courtney B. Vance (Stanford Wedeck, szef Marka), Brian F. O'Byrne (Aaron Stark, sąsiad Marka),



a także:

Gabrielle Union (Zoey Andata, narzeczona Demetri Noha), Yuko Takeuchi (Keiko Arahida, Japonka z wizji Bryce Varleya), Dominic Monaghan (Simon Campos, fizyk), Michael Masee (D. Gibbons / Dyson Frost), James Callis (Gabriel McDow, sawant), Peter Coyote (prezydent USA Dave Segovia), Barbara Williams (wojownicza senator, a następnie wiceprezydent Joyce Clemente).



SIEDEM BEZ PÓŁ

Tytuł: Harry Potter and the Deathly Hallows: Part 1/Harry Potter i Insignia Śmierci: część 1

Produkcja: USA, 2010

Gatunek: Czary-mary

Dyrekcja: David Yates

Za udział wzięli: Plejada znanych aktorów, gość z *Tudors* i wyrostki

O co chodzi: A może poszli do lasu?

Jakie to jest: Szczerze mówiąc – nie przypuszczałem, że ekranizacje *Pottera* dożyją końca serii. Byłem pewien, że podzielą losy innych naśladowców – filmów na podstawie młodzieżowych fantasy, których wysyp nastąpił zaraz po pierwszych *Harrych*. Hity takie jak *The Seeker: The Dark Is Rising*, *Złoty Kompas* czy *Narnia* kończyły żywot najczęściej po pierwszym odcinku, a ja *Potterowi* dawałem co najwyżej cztery-pięć. A tu proszę...

Na pierwszą część ostatniej części wybrałem się tradycyjnie o godzinie duchów. Niestety, w wyniku pewnego deficytu snu kilka procent filmu mi umknęło, a przyswojona świadomość reszta wydała się niesłychanie oniryczna. Tak więc formalisci mogą twierdzić, że recka ta jest nierzetelna, bo nie opiera się na pełnej informacji – i będą mieli rację.

Tym niemniej film podobał mi się. David Yates, po katastrofalnym *Half-Blood Prince*, powrócił do poziomu *Zakonu Feniksa*, a nawet lepiej. *Deathly Hallows: Part 1* jest totalnym negatywem szołganej przeze mnie części poprzedniej. Nie gna na złamanie karku, jest zaskakująco spokojny i łatwo przyswajalny. Po poprzednim skrajnie przegadanym odcinku otrzymujemy marzenie Tomasza Knapika: film, w którym prawie nikt nic nie mówi. Ma też znacznie mniej chaotyczną fabułę, co zapewne wynika z faktu, że jest ona szczątkowa.



Na dzień dobry narada złych w tajnej bazie Malfoyów i plan pojmania Harry'ego Pottera. Trzeba to zrobić szybko, bo już wkrótce przeprowadza się on do superbezpiecznego domu nie do zdobycia. Po drugiej stronie barykady Potterowcy organizują tę przeprowadzkę, przygotowując szereg klonów Harry'ego dla zmylenia przeciwnika, co kończy się nawet niezłą sceną bitwy w powietrzu. Niestety,



superbezpieczny dom okazuje się przereklamowany, ponieważ wnet zjawiają się tam siły mroku – i Harry, Hermiona oraz Ron muszą uciekać, rozpoczynając swoją ucieczkową odyseję porównywalną tylko z *BSG*.

Tak więc większość filmu bohaterowie spędzają w podróży, a konkretnie na obozie wędrownym pod namiotami. Niestety, nie jest to podróż typu *LotR*, gdzie ekipa przemieszcza się z punktu A do B do C w jakimś konkretnym celu: tutaj Harry i kompania snują się z lewa na prawo właściwie spędzając tylko czas i kryjąc się wzorem

Robin Hooda w lesie przed wrogami. Mimo że mają oni bardzo pilne zadanie odnalezienia wszystkich horkruksów Voldemorta – nie bardzo wiedzą, jak się do tego zabrać, postanawiają więc nie robić nic i niemal przez bity rok czasu filmu włóczą się po wybitnie pustych pustkowiach. To sporo luzu jak na dwuipółgodzinny film i, choć akcja toczy się komfortowo niespiesznie pomiędzy dłużyznami, człowiek zastanawia się, czy aby na pewno trzeba było ciąć ostatni odcinek na dwie części.

Tak czy inaczej, dzięki temu tempu i zmianie otoczenia, *Deathly Hallows* przypomina nawet normalny film (nie adaptację). Tym bardziej, że ta zmiana otoczenia jest dość radykalna: nie mamy czarodziejskich ulic, meczu quidditcha, nie ma nawet Hogwarthu i większości dawnych bohaterów; w związku z czym znika cały potencjalnie lajtowy klimat szkolny. Gdyby nie infantylny dizajn niektórych stworów i postaci – człowiek mógłby pomyśleć, że to faktycznie jakiś zupełnie nowy, nawet fajny filmik, pozbawiony większości naleciałości wieku młodzieńczego serii.

Poza naszą wędrowką i początkową akcją *HPATDHP1* serwuje nam jednak parę zróżnicowanych scen dla rozruszania sali: całkiem zabawna akcja infiltracji ministerstwa czarów-marów, niezłe zrobiona wstawka animowana, a także scena tortur jednej pani przez drugą, którą z pewnością docenią fani nurtu „więzienie dla kobiet”. Przy tym warto dodać, że na ekranie po latach pojawia się marzenie niektórych nerdów – czyli **GOŁA HERMIONA** (tak, tak! co prawda komputerowo przetworzona i nic nie widać, ale fakt jest faktem). Dla amatorów innych wrażeń warto dodać, że towarzyszy jej sam Harry Potter w podobnym wydaniu. Ponadto zaserwowano różne inne sceny okaleczeń, oszpeceń i śmierci, aby spełniony został wymóg mroczności ostatniej części.

Film ma fajną narrację, gdzie wiele doniosłych wydarzeń jest tylko wspomnianych w rozmowie lub wręcz pokazanych od niechcienia bez słowa komentarza ze strony bohaterów – w miejsce, znanego z poprzednich, części topatologicznego tłumaczenia wszystkiego. Zadziwia też mocno zredukowana liczba efektów specjalnych; ale generalnie do snucia się po lesie nie są one wybitnie potrzebne. Dzięki temu właśnie film sprawia wrażenie wyjątkowo



dojrzałego (jak na swoją klasę, rzecz jasna). Wydaje się, że telewizyjne doświadczenie Yatesa (który zresztą awansował właśnie na wiodącego reżysera *Potterów*) zadziwiająco tu zaplusowało.

No, ale jak w przypadku moich poprzednich recyk – nie zapominajmy, że pomimo starań filmowców jest to nadal *Potter*, który wyżej dupy nie podskoczy. Zredukowanie akcji do psychodramy w wykonaniu dwóch aktorów obnaża dość znacząco denność głównych bohaterów. Zwłaszcza że w tym odcinku Ron ma do zrobienia aż jedną rzecz, co chyba i tak jest wynikiem powyżej średniej dla serii. Na szczęście, żeby nie zaśmiecać ekranu swoją bezużyteczną osobą, szybko obraża się na Harry'ego i Hermionę (i znika na pół filmu). Szkoda, że nie poznajemy tła wprowadzenia nazi rządów voldemortowców: ten ważny motyw mamy załatwiony widoczkami kilku pseudoesesmanów kontrolujących czarodziejską ludność. Wiem, że chwaliłem subtelną narrację – ale tu przydałoby się trochę więcej. Oczywiście toporne nawiązania do popkultury pokroju *LotR* czy *Star Wars* można nazwać ładem czy postmodernizmem; ja jednak nazwałbym je objawem niemocy intelektualnej autorki (ocierającym się o plagiat). Mimo stawania reżysera na głowie i tworzenia nie wiadomo jakiego mrocznego i dojrzałego klimatu – w końcu na ekranie trzeba pokazać beznosego łysola czy rozczochną babcię gotkę, w którym to momencie widz traci sporo uzbieranego do filmu szacunku. Tym razem oszczędzę sobie pastwienia się nad mitologią Voldemorta, bo robiłem to już w poprzednich recykach.

Jednak jeśli już ktoś chce albo musi oglądać *Pottery* – ten odcinek niewątpliwie mile go zaskoczy (zwłaszcza po poprzednim). Mam nadzieję, że w ostatnim będzie jakaś mega epa – np. walka nad lawą – bo nie widzę, jak by ta seria miała się bez niej obejść.

Ocena (1-5):

Kiedy idę zielonym szlakiem: 5

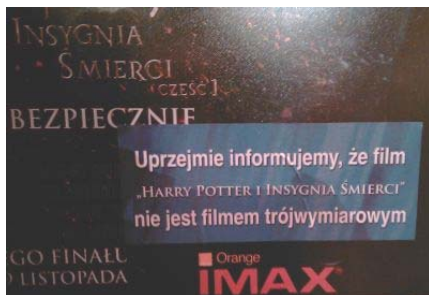
Mały Putinek: 1

Goła baba: 4

Fajność: 4

Cytat: Potter, you're underage.

Ciekawostka przyrodnicza: Słucham, że co!?



Commander John J. Adams
[www.zakazanaplaneta.pl/]

/tytuł od redakcji INFO/



ZA DUŻO GRZYBÓW

Autor: Marcin Wolski

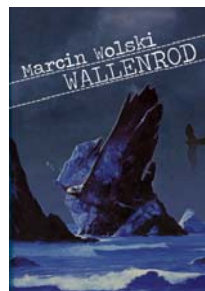
Tytuł: Wallenrod

Liczba stron: 423

Rok wydania: 2009

ISBN: 978-83-61587-15-6

Wydawca: Narodowe Centrum Kultury



Książka, o której piszę, została wydana przez Narodowe Centrum Kultury w ramach konkursu „Zwrotnice czasu. Historie Alternatywne” i stanowi II tom serii. Z dedykacji Marcina Wolskiego oraz z „Poślowia” autorstwa Jacka Pawłowicza dowiadujemy się, że inspiracją do napisania *Wallenroda* był cykl audycji w radiowej „Trójce” – prowadzonych przez, dziś już nieżyjącego, profesora Pawła Wieczorkiewicza. Pamiętam te audycje; rzeczywiście był to naprawdę niezły materiał wyjściowy do stworzenia wielu powieści przedstawiających alternatywne wizje dziejów.

Niestety, moim zdaniem, Marcin Wolski nie podolał. Z dobrego pomysłu wyszła powieść sprawiająca wrażenie pisanej na kolanie i w ogromnym pośpiechu. Być może sprawił to zbyt krótki (?) termin zgłaszania prac konkursowych do NCK.

W powieści dzieje się bardzo dużo i bardzo szybko. Przewija się mnóstwo postaci, tych wielkich, z pierwszych stron ówczesnych gazet, ale i tych całkiem nieważnych. Wydarzenie goni wydarzenie, a każde następne jest jeszcze bardziej sensacyjne niż poprzednie. Właściwie po co? Od pierwszych stron przecież już wiadomo, że naziści zostali pokonani przez przebiegłych Polaków.

W takich chwilach wraca do mnie powiedzenie, że dwa grzyby w barszczu to za wiele. W *Wallenrodzie* grzybów jest tak dużo, że smaku zupy już nie czuć. Trochę się z tej powieści zrobił amerykański film szpiegowski w polsko-niemieckim anturazhu. Pościgi, szyfry, zabójstwa, porwania, zamachy, a na koniec efektowny wybuch bomby atomowej nad głową Hitlera. Toż to prawie schyłkowy Luc Besson.

Mam wrażenie, że Narodowe Centrum Kultury wydało *Wallenroda* tylko dlatego, że na jego kartach nasz naród wreszcie odniósł spektakularne zwycięstwo nad Niemcami. Myślę jednak, że większym pożytkiem byłoby bezpłatne rozesłanie do wszystkich polskich domów Sienkiewiczowskich *Krzyżaków*.

Szkoda, że powieść Marcina Wolskiego zaprzepaszcza szansę na poruszenie ważnych tematów w sposób, który przekonałby wątpiących, że książki fantastyczne to część „prawdziwej” literatury. Szpiegowski western w historycznych przebraniach, który tylko na niby pyta: „co by się stało, gdyby Polska przystąpiła do wojny jako sojusznik nazistów” – nikogo nie przekona.

Żartobliwe mruganie do czytelnika i przenoszenie w międzywojnie nawiązań do współczesnej polityki też nie wyszło Marcinowi Wolskiemu najlepiej. Nie rozbawiło mnie wkładanie w usta Józefa Piłsudskiego frazeologii używanej przez Jarosława Kaczyńskiego: „Strach pomyśleć, co będzie, jeśli obaj szatani, nie bacząc na różnice we frazeologii, postanowią się dogadać.”. Nie uśmiechnąłem się także czytając o tym, jak to Niemcy nazywają Józefa Piłsudskiego „kartoflem w mundurze”. Może gdybym miał ze dwadzieścia lat mniej – śmiałbym się do rozpuku.

A w dodatku całą rzecz napisano nienajlepszym językiem. Uważam, że w nagradzanych przez NCK powieściach nie powinno być błędów, przynajmniej ortograficznych. W *Wallenrodzie* są, a moim ulubionym jest niekonsekwentna pisownia nazwiska Römmel – raz przez „u”, a innym razem przez „ó”. Również stylistyka

pozostawia nieco do życzenia. Momentami ma się wrażenie, że to „niezawodny” MS Word miał ostatnie słowo w wielu kwestiach. Word zapewne zaproponował takie rozwiązania jak choćby układ zdania, z zastosowaniem nowego wersu i wcięcia tabulatorowego w środku: „Podobnie jak zamach na

Carat Włodzimierza I w 1953 roku i dyktatura byłego NKWD-zisty Iwana Sierowa mogą stanowić temat zupełnie innej pracy”.

Całkiem niepotrzebnie autor stosuje długie zdania. Zwłaszcza że czasem pojawiają się w nich zupełnie nieistotne informacje: „Zakończywszy część powitalną (Goebbels i Göring wyszli z pokoju, wraz z Wieniawą i polskim ambasadorem Józefem Lipskim, niestarym mężczyzną o nalanej twarzy mola książkowego), kanclerz zaprowadził swego gościa po trzech marmurowych stopniach do foteli znajdujących się przed kominkiem trzaskającym ogniem”. Uff! Czy naprawdę tak istotna jest nalana twarz Józefa Lipskiego, który już więcej na stronach książki się nie pojawia? A ponadto – czy w istocie cechą charakterystyczną moli książkowych jest „nalana twarz”?

Należałoby dość dokładnie zweryfikować powieść faktograficznie. Ja rozumiem, że to fantastyka i że historia alternatywna. Diabeł jednak tkwi w szczegółach. W *Wallenrodzie* potrafią one pogorszyć ogólne wrażenie.

Pierwszy zgrzyt trafia się już przy oglądaniu wewnętrznej strony okładki. Oczom naszym ukazuje się klucz samolotów bombowych PZL-37B łoś. Sylwetka znana każdemu, kto trochę interesuje się lotnictwem. Niestety, dwa z łośi są sklonowanymi w programie graficznym kopiami samolotu pierwszego. Są sklonowane łącznie z niepoprawnymi oznaczeniami na kadłubie. Użyte tu symbole stosowano w lotnictwie cywilnym! I jeszcze jeden drobiazg: brak białoczerwonych szachownic na statecznikach pionowych bombowców. Może w świecie powieści fantastycznej nie jest to żaden błąd, ale tak właśnie wyglądają realia. Zły rysownik, zły!

Łosie pojawiają się w treści książki nie tylko dzięki rysownikowi. Autor też dołożył swoje trzy grosze. Marcin Wolski, w pogoni za kolejnymi nośnymi nazwiskami, każe pilotować Łosia Stanisławowi Skalskiemu. Gdzieś, między nienapisanymi wierszami powieści, zmieniły się losy Skalskiego. Przez to zapewne nie odbył przeszkolenia myśliwskiego w Wyższej Szkole Pilotażu w Grudziądzu, lecz został pilotem bombowca. W powieściach fantastycznych nie takie rzeczy się zdarzają! Tylko po co było tam pchać Skalskiego? Mało to mamy w historii porządnym pilotów bombowych? Autor nie znał żadnego z nich, nie chciało mu się szukać, czy może faktycznie potrzebował WIELKIEGO nazwiska, które nawet w sklepie z gwoździami wywołałoby jakiś cień zrozumienia?

Co tam jednak Skalski w Łosiu! Skalski w Łosiu osiągającym w locie poziomym prędkość 500 kilometrów na godzinę i rzucający swoją maszynę do walki z sowieckimi myśliwcami – to jest dopiero coś! A nie jest to bynajmniej bohatera obrona. To przemyślany, wykalkulowany atak. Kończący się sukcesem. Myśliwce wroga po szarzy Łosia spadają na ziemię jak ulegalki. Gdyby się jednak zastanowić, to przecież na potrzeby fantastycznej powieści alternatywnie historycznej można by takiego Łosia wyposażać w ultranowoczesne silniki, dołożyć mu ze sześć działek lotniczych w skrzydłach. I mamy wspaniały myśliwiec bombardujący lub bombowiec pościgowy. To by dopiero była fantastyka!

Jeszcze inną kwestią, która psuje przyjemność czytania powieści, jest papierowość bohaterów. Główna bohaterka jest właściwie tylko zarysem człowieka, konturem. Mimo opisywania dramatycznych przeżyć – nie ma w niej samej żadnego dramatyizmu. Do końca powieści pozostaje płaska psychologicznie. I nie przydaje jej wiarygodności opis gwałtu dokonanego na niej w dzieciństwie przez ojczyca (zaangażowanego endeka, z niemieckimi korzeniami, wyznania ewangelickiego – co za fantastyczna konstrukcja). Niewiele też zmieniają sceny seksu w rozmaitych odmianach, ani pokazywanie przemocy, ani zachwalanie znajomości języków

i genialnej pamięci naszej heroini. Parafrazując bohaterów *Seksmisji* – „emocje, przy pani, zero”.

Seks w tej powieści to temat na osobną rozprawę. Marcin Wolski podczas pisania *Wallenroda* był chyba bezpośrednio po lekturze *Łaskawych* Littela. Tyle tylko, że nie przełożyło się to na tekst polskiego autora w sposób twórczy. Sceny seksu w *Wallenrodzie* sprawiają wrażenie dodanych tylko po to, by zrealizować hollywoodzką receptę na sukces filmu: seks & przemoc...

Mimo że trochę bolało przeczytałem powieść od dechy do dechy. No, i przy końcu dotarłem do tworu potwornego: słowniczka zawierającego „biogramy” postaci historycznych występujących w książce. Nazwano go pięknie – „dramatis personae”. Powiększył on objętość dzieła o 30, całkiem zbędnych, stron. Informacji w tych „biogramach” jest tyle, co wiewiórka napluła. Zupełnie nie rozumiem sensu informowania czytelników o tym, że Adolf Hitler to „kanclerz i wódz III Rzeszy. Popęłił samobójstwo 30 kwietnia w swoim bunkrze w Berlinie”, zaś Edith Piaf to „znakomita piosenkarka francuska”. Do głowy przyszły mi tylko dwa wyjaśnienia przyczyn zaistnienia słowniczka w książce: 1) powieść jest skierowana do czytelników z niezelektryfikowanych regionów Polski, w których nie ma szansy na skorzystanie z Internetu; 2) autor zatroszczył się o tych czytelników, których zbanowano na Wikipedii i Google’u.

Na szczęście nie było na końcu książki aneksu z mapami i zestawieniami statystycznymi, z których wynikałoby niezbicie, że Polska w okresie międzywojennym umiejscowiona była w sąsiedztwie III Rzeszy i ZSRR. Czego nikomu nie życzę.

Krzyszczk
(hisks@wp.pl)

Grażyna Treła
*Dobry mężczyzna
to martwy mężczyzna*
Warszawa 1997
B&C– Piotr Bagiński



DOBRY BOHATER TO... PAPIEROWY BOHATER

Od dłuższego czasu w rodzimej literaturze symptomem, czy wręcz manierą, jest taka kreacja bohatera, która pozwoliłaby na wydobycie najmroczniejszych cech jego charakteru. To jednak, co na początku ostatniej dekady XX wieku można było jeszcze uznać za interesujące jako *signum temporis*, u końca lat dziewięćdziesiątych stało się manierycznym, pustym gestem. Nihilizm głoszony przez bohatera stał się tym samym nie tyle afektowaną nierzadko deklaracją światopoglądową, ile wyrazem bezsilności autora – nie potrafiącego zaproponować czytelnikowi niczego poza przebrzmiałym gestem.

Pewnym wyjściem z tej sytuacji jest ujęcie groteskowe, kreślony wyraźnie dystans narratora do świata przedstawionego; dzięki czemu zostaje obnażona literackość tekstu. Jeżeli brak jest jednak tego dystansu – autor skazuje sam siebie na artystyczną porażkę. I nie są w stanie zapobiec jej najwymyślniejsze choćby tytuły, mające (chyba?) odwracać czytelniczą czujność od kryjącej się za nimi literackiej miernoty.

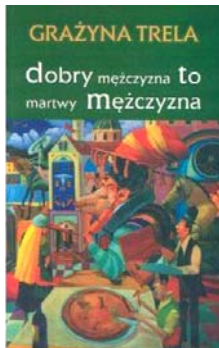
Pretekstu do powyższych uwag dostarczył tomik (bodaj, czy nie debiutancki, takiej jednak informacji nie ma w notce biograficznej) Grażyny Treli *Dobry mężczyzna to martwy mężczyzna*. Od tytułu poczynając, poprzez dedykację (*Mojemu osobystemu strurmbannfuhrerowi S.S.*), po fabuły utworów przebija w tomiku przemożna chęć epatowania skandalem. Cóż jednak, skoro pragnienie to pozostaje niespełnione? Przywoływane przez Trele sytuacje fabularne (może z wyjątkiem ostatniego utworu, w którym oryginalności pomysłu nie dorównuje fatalny brak wyczucia stylu) są wtórne i przywoływanie ich bez prób reinterpretacji źle wróży przyszłości pisarki.

Sobowót, zaprzędanie się pasji życia, perwersyjne gry miłosne z nieznanym... to wszystko już było – i powtarzanie znanych czytelnikowi sytuacji w sposób nie pozwalającym spojrzeć na nie z nowej perspektywy to metoda literacko chybiona. Podobnie banalnym gestem jest kreacja bohaterki (będącej najczęściej zarazem pierwszoosobową narratorką) na *alter ego* autorki. Nachalne obracanie się w kręgu rekwizytów ze świata filmu i teatru nuży. Tym bardziej, że bohaterka opowiadań Treli sama przypomina jeszcze jeden z rozrzuconych w fabule rekwizytów – czytelnik dawno (w odczuciu piszącego te słowa) nie spotkał tak nieprzekonujących, jednowymiarowych (by nie rzec papierowych) postaci. W tomiku Treli dorównują im jedynie wydumane sytuacje, w których owi „bohaterowie” są stawiani. Wbrew notce reklamowej nie jest to *świat dewiacyjnej uczuciowości*; aby mówić o uczuciu, potrzebne są żywe postacie „z krwi i kości” – takie, jakie można znaleźć choćby na kartach opowiadań Katarzyny Grocholi z tomu *Podanie o miłość*. Dla Treli uczucie zaczyna się i kończy na opisie towarzyszących mu odczuć fizjologicznych. Symptomatyczne są pod tym względem sceny „gwałtu manualnego” (absurd określenia dorównuje absurdowi i brakowi wyczucia smaku w kreśleniu sytuacji będącej tematem *Zboczeńca* – pierwszego z dwu opowiadań składających się na mikrocykl *Perwersje na trasie Kraków–Łódź*). Szczyt charakterystyczny dla pisarstwa Treli tendencji osiągnięty zostaje w obrazku „*Shakespeare*”. Utwór ten, co można wyczuć od razu, napisany został bez pomysłu, jako szkic do rozwinięcia. Nie bez pewnej uszczupliwości można byłoby przyrównać opowiadania Treli do produktów kinematografii bawarskiej sprzed dwudziestu-trzydziestu lat, w której szcążkowa akcja była jedynie-li pretekstem do ukazywania kolejnych niewybrednych artystycznie igraszek w łóżku. W *Dobry mężczyzna to martwy mężczyzna* takimi „igraszkami” są niesmaczne sytuacje, których bohaterka jest świadkiem, bądź uczestniczką – sceptyczni powinni zajrzeć do *Juliana i Juliana* oraz *Cinema* >>Paradiso<<.

Na tym, niezbyt pochlebnie zarysowanym tle, znacząco wyróżnia się (co było sygnalizowane już wcześniej) ostatnie opowiadanie – *Gdzie diabeł mówi dobranoc*. Jest to wstrząsająca historia upośledzonego w wypadku samochodowym chłopca, który pragnie odwrócić skutki zderzenia, powodując następną kolizję. Czytelnika ma świadomość tragizmu decyzji bohatera, postanawiającego dać się potraćić TIR-owi, by odzyskać dawną sprawność intelektualną: *wypadek spowodował, że był głupolem, i wypadek spowoduje, że mózg znowu ustawi mu się na miejsce. Kilkakrotnie próbował już zderzyć się z autem, ale kończyło się na otarciach i siniakach. Może dlatego się nie udawało, że wybierać małe samochody, osobowe? Teraz auto jest większe* (*Gdzie diabeł mówi dobranoc*, s. 93). Napisane ascetycznym stylem opowiadanie psuje zakończenie: niestosowność uwagi o diable mówiącym martwemu chłopcu dobranoc pogłębia jej cynizm.

Mimo tej ewidentnej usterki *Gdzie diabeł mówi dobranoc* to utwór dobry – czy warto jednak dla niego jednego wydawać tomik? Gdyby traktować *Dobrego mężczyznę*... jako wyznacznik poziomu najnowszej rodzimej literatury, należałoby poważnie zaniepokoić się jej stanem. Na szczęście w tym samym 1997 roku ukazało się między innymi *Al fine* Grzegorza Musiała i *Księga pasztetów* Nataszy Goerke (by poprzestać na pokoleniowych rówieśnikach Treli), co pozwala widzieć przyszłość polskiej literatury w sposób optymistyczny.

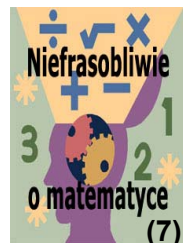
Adam Mazurkiewicz



Wielkie, ale nie za bardzo

Znalazłem naprawdę zadziwiający dowód tego twierdzenia, lecz margines jest za mały, żeby go pomieścić.

(Pierre de Fermat, 1601-1665)



Oto najsłynniejsza wypowiedź drugiego (poza Gaussem) potencjalnego Amberyty, zakamuflowanego w cieniu Ziemi jako prawnik z Tuluzy. Czytając przełożoną właśnie na łacinę *Arytmetykę* Diofantosa z Aleksandrii (III w. n.e.), popisywał się na marginesach innymi kojarzącymi mu się faktami ze świata Amberu, nie zaprzatając sobie zbytnio głowy dowodami. Tuż obok równania Pitagorasa ($x^2+y^2=z^2$) napisał, że podobne równanie $x^n+y^n=z^n$ (gdzie $n>2$) nie ma rozwiązań w liczbach całkowitych dodatnich, dodając na odczepnego nasze dzisiejsze motto. Po śmierci Fermata jego syn wydał te notatki – i tu dopiero się zaczęło. Udowodniono bowiem kolejno wszystko to, co ów zmarginalizował, poza powyższym, i co obecnie nosi nazwę Wielkiego Twierdzenia Fermata (WTF)*).



Matematycy (jako ogół) to tacy dziwni ludzie, którzy jak się już na coś zasada, to nie odpuszczają. Przez dwa wieki wielu słynnych matematyków popełniło fałszywe dowody WTF, oparte na pozornie oczywistych, lecz nieprawdziwych przesłankach. Sprovokowana nimi analiza stymulowała rozwój wiedzy matematycznej, w tym zwłaszcza powstanie nowoczesnej algebry. I w tym tkwi jedyna wielkość problemu, który sam w sobie nie jest jakoś szczególnie ekscytujący. Nieprzystępność jednak prowokuje i podgrzewa atmosferę wokół zagadnienia, obiecując nagrodę w postaci wiekiściego splendoru. Dobrze oddaje to następująca anegdota:

Pewien XIX-wieczny matematyk panicznie bał się podróży morskich. Kiedy musiał taką odbyć, rozsyłał do kolegów po fachu listy z wiadomością, że udowodnił WTF, ale szczegóły poda po powrocie. Zamiast tego wszystko odwoływał, aż do następnego rejsu. Kiedy ktoś go zapytał, czemu tak postępuje, ten odpowiedział: *Pan Bóg nie dopuści, żeby taki ateista jak ja odszedł w pełni chwały.* (Co, nawiasem mówiąc, udało się Fermatowi).

Udowodnienie WTF zajęło w sumie około 350 lat. W 1993 r. Andrew Wiles przedstawił dowód tego faktu za pomocą metod zrozumiałych jedynie dla nielicznych matematyków. Zanim to się jednak stało, mieliśmy przez ostatnie stulecie zwątpienie fachowców zmieszane z entuzjazmem amatorów, zwiedzionych pozorną prostotą zagadnienia. Pospolita aberracja umysłowa zwana *fermatyzmem* objawiała się u tych drugich skrajną nieufnością wobec tych pierwszych, podejrzewanych o chęć zawłaszczenia rezultatów ich pracy. Sam miałem na studiach kolegę fermatystę, który nie zaliczył nawet I roku. Wychodzi więc na to, że dowód Wileasa trafił w sedno, eliminując skutecznie jedną z chorób cywilizacyjnych.

Kiedy w połowie ubiegłego wieku zapytano kilku znanych polskich uczonych, jakie jest najważniejsze zadanie nauki w najbliższym pięćdziesięcioleciu – matematyk, Hugo Steinhaus, odpowiedział, że złapanie muchy na Księżycu. Następnie wyjaśnił zdumionemu rozmówcy, że samo w sobie jest to nieistotne, lecz by tego dokonać, trzeba rozwinąć metody, jakie dziś są jeszcze nie do pomyślenia. Jest to dobra metafora zmagania z WTF czy też innymi znanymi problemami, które poprzez piętrzącą się trudności stymulują rozwój nowych gałęzi ludzkiej wiedzy. Swoją drogą miło jest pomyśleć, że polski matematyk jako pierwszy przewidział – sam o tym nie wiedząc – patelnie teflonowe.

Andrzej Prószyński

*) Po angielsku nazywa się ono *ostatnim* (*Last Fermat's Theorem*), por. książkę A.C. Clarke'a i F. Pohla *Ostatnie twierdzenie*, a szczególnie *Trzecie zakończenie*, zawierające więcej informacji o WTF niż ten artykuł.

Autentyczne fragmenty opisów wypadków samochodowych sporządzonych przez kierowców w protokołach zgłoszeniowych PZU S.A.

1. Wracając do domu podjechałem do złego domu i zderzyłem się z drzewem którego nie mam.
2. Inny samochód zderzył się z moim nie ostrzegając o swoich zamiarach.
3. Myślałem, że mam opuszczone okno jednak okazało się, że jest podniesione kiedy wystawiłem przez nie rękę.
4. Zderzyłem się ze stojącą ciężarówką nadjeżdżającą z drugiej strony.
5. Ciężarówka cofnęła się przez szybę prosto w twarz mojej żony.
6. Odholowałem swój samochód z jezdni, spojrzałem na teściową i uderzyłem w nasyp.
7. Przechodzień uderzył we mnie i przeszedł pod moim samochodem.
8. Facet był na całej drodze i wiele razy próbowałem go wyminąć zanim uderzyłem w niego.
9. Budka telefoniczna zbliżała się, kiedy próbowałem zjechać jej z drogi uderzyła w mój przód.
10. Nie chcąc zabić muchy wjechałem w budkę telefoniczną.
11. Prowadziłem samochód już czterdzieści lat, kiedy zasnąłem za kółkiem i miałem wypadek.
12. Broniąc się przed uderzeniem zderzaka samochodu przede mną uderzyłem przechodnia.
13. Mój samochód był legalnie zaparkowany kiedy wjechał w inny pojazd.
14. Mój samochód był prawidłowo zaparkowany w tyle innego samochodu.
15. Nagle znikąd pojawił się niewidoczny samochód, uderzył w mój samochód, po czym zniknął.
16. Byłem pewien, że ten stary człowiek nie dotrze na drugą stronę ulicy kiedy go stuknąłem.
17. Przechodzień nie miał żadnego pomysłu którędy uciekać, więc go przejechałem.
18. Nie pamiętam dokładnie okoliczności wypadku, ponieważ byłem kompletnie pijany. W celu uzyskania dalszych szczegółów proszę zwracać się do policji.
19. Kiedy wróciłem do samochodu to okazało się, że on umyślnie albo nieumyślnie zniknął.
20. Jechałem do lekarza z chorym kręgosłupem, kiedy wypadł mi dysk, powodując wypadek.
21. Nie wiedziałem, że po północy też obowiązuje ograniczenie prędkości.

22. Dałem sygnał klaksonem, ale nie działał, ponieważ został skradziony.
23. Pośrednią przyczyną wypadku był mały człowieczek w małym samochodzie z dużą buzią.
24. Zdałem sobie sprawę, że może być nieciekawie. Golf jedzie nam w maskę. Spojrzałem na zegarek – była 7:05.
25. W pewnym momencie drzewo dostało się między kabinę ciężarówki i przyczepę.
26. Jechałem sobie spokojnie, a tu nagle zaatakowała mnie wysepka tramwajowa.
27. Cały dzień byłem na zakupach – kupowałem rośliny. Gdy wracałem do domu, to żywopłot wyrósł jak grzyb po deszczu, przysłaniając mi pole widzenia w taki sposób, że nie zobaczyłem nadjeżdżającego samochodu.
28. Mój samochód przeleciał przez barierkę i wylądował w kamieniolomie. Mam nadzieję, że spotka się to z państwa aprobatą.
29. Kiedy dojeżdżałem do skrzyżowania, nagle pojawił się znak drogowy w miejscu, gdzie nigdy przedtem się nie pojawiał i nie zdążyłem zahamować.
30. Wjeżdżając na parking, uderzyłem w ogromną, plastikową mysz.
31. Ubezpieczony nie zauważył końca mola i wjechał do morza.
32. Jechałem powoli, usiłując osiągnąć szmatki, aby wytrzeć okno, która zaczęła się o fotel. Kiedy ją pociągnąłem, uderzyłem się w twarz, straciłem kontrolę nad kierownicą i wjechałem do rowu. Gdy przyjechałem z powrotem z pomocą drogową, moje radio zniknęło.
33. Ostrożnie przyhamowałem, aby ta kobieta upadła jak najdelikatniej.
34. Zatrąbiłam na pieszego, ale on tylko się na mnie gapił, więc go przejechałam.
35. Ten pieszy strasznie latał po szosie, musiałem kilka razy wykręcać, zanim na niego wpadłem.
36. Źle osądziłem kobietę przechodzącą przez jezdnię.
37. Kierowca, który przejechał człowieka: "Podszedłem do leżącego pieszego i stwierdziłem, że jest bardziej pijany ode mnie".
38. Poszkodowany przeze mnie obywatel jest teraz w szpitalu i nie chowa urazy. Powiedział, że mogę korzystać z jego samochodu i wziąć jego żonę aż do czasu, kiedy wyjdzie ze szpitala.
39. Zobaczyłem wolno poruszającego się starszego pana o smutnej twarzy, jak odbił się od dachu mojego samochodu.
40. Motorniczy tramwaju potrącona przez samochód podczas przestawiania zwrotnicy: "Zostałam uderzona w tył mojej osoby i wyrzuciłam się na jezdnię".
41. Świadek potrącenia pieszego: "Zobaczyłem, że w powietrzu na wysokości 2 do 3 metrów leci, znany mi osobiście, mieszkaniec Orzechowa".
42. Piesza potrącona przez samochód: "Stwierdziłam, że nie mam butów na nogach. Okazało się, że jeden but jest za kioskiem Ruchu, a drugi na dachu kiosku".

43. Potrąciłam tego mężczyznę, który przyznał, że to jego wina, ponieważ już poprzednio był poszkodowany.
44. Świadek potrącenia pieszego: "Usłyszałem jak Przemek krzyknął do głuchoniemego Tokarczuka: STÓJ".
45. Samochód przede mną potrącił przechodnia, który jednak wstał, więc też na niego wjechałem.
46. Pytanie: "Czy próbował pan dać ostrzeżenie?"
Odpowiedź ubezpieczonego : "Tak, klaksonem".
Pytanie: "Czy druga strona próbowała dać ostrzeżenie?"
Odpowiedź ubezpieczonego: "Tak. Zrobiła muuuuuu"
47. Tego byka chyba ugryzła osa, bo rzucił się na moje auto.
48. Szczury rozmyślnie pożarły tapicerkę mojego wozu.
49. W moim samochodzie zaczęły się bić dwie osy i zostałem ukąszony, przez co wjechałem w auto przede mną.
50. Wyrzuciło mnie z samochodu, kiedy zjechał z szosy. Dopiero potem znalazły mnie w rowie dwie zabłąkane krowy.
51. Usiłując zabić muchę, wjechałem na słup telegraficzny.
52. Na samochód wpadła krowa. Później dowiedziałem się, że była trochę przygłupia.
53. Ubezpieczony zostawił auto na polu. Kiedy wrócił, samochód zaatakowały owce.
54. Wiedziałam, że pies jest zazdrosny o samochód, ale gdybym myślała, że coś się stanie, nie prosiłabym go, żeby prowadził.
55. Doberman zjadł wewnątrz samochodu, kiedy byłem w sklepie.
56. Kiedy jechałem przez park safari, mój samochód otoczyły małe, brązowe, zezowate małpy. Gruba małpa zaczęła kręcić się na antenie mojego samochodu zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara. Pomimo moich usilnych starań nie chciała zaprzestać i mniej więcej w trzy minuty później zniknęła w poszyciu leśnym z anteną w pysku.
57. Sprawca wypadku: "To jest niemożliwe, Żebym jechał na piątym biegu. Jechałem na pewno na czwartym albo na piątym biegu".
58. Ten pan jest bezstronnym świadkiem na moją korzyść.
59. Jedyнным świadkiem była pewna córka Koryntu, która tam stała w bramie, ale ona nie chciała podać swoich personaliów.
60. Dziewczyna w samochodzie obok wystawiła na widok swoje piersi i wtedy wjechałem w auto przede mną.
61. Powiedziałem policjantce, że nic mi nie jest, ale kiedy zdjąłem kapelusz, stwierdziła, że mam pękniętą czaszkę.
62. Co mogłem zrobić, aby zapobiec wypadkowi? Jechać autobusem?

Stereo i w kolorze

010

Powody o które mniejsza (i tak wyjdą na jaw) zmusiły mnie ostatnio do zagłębienia się w nowe wersje przeróżnych staroci. I do wyciągnięcia z owego zagłębienia wniosków nieodkrywczych: świat schodzi na psy. Wiek usprawiedliwia tę konstatację, ale jednocześnie czyni mnie nieznośnym starym piernikiem.

Czego nie mam zamiaru żałować, ukrywać, ani nawet zmieniać. Żeby to zmienić, żeby usprawiedliwiać się wiekiem, musiałbym stracić pamięć. Nie chcę. Żeby się zachwycać stereo i kolorem musiałbym zrezygnować z wartości; a tak się składa, że cenię to, co jest – jak sama nazwa wskazuje – coś warte. Innymi słowy, by nawiązać do samego siebie z zeszłego odcinka, dla „Miasta szaleńców i świętych” nie mam zamiaru zrezygnować z „Chwały Cesarstwa”, choć ostatnie wydanie miała gdzieś około 1975 roku. Jeśli czyni to ze mnie piernika – to takiego spierniczenia życzę każdemu.

Kiedy publicznie mówię to, co teraz piszę, najczęstszą reakcją jest lekceważenie lub (tylko odrobinę lepsze) przekonanie, że jestem „elitarystą”. Że nie cenię tego, co popularne, bo jest popularne. Nic bardziej mylnego! Z tego, co popularne, zrobiłem sobie przecież zawód, choć nie musiałem. Ja tylko żyję w głębokim przekonaniu, którego już nie zmienię: popularność i szajsowość nie muszą iść w parze. Gorzej – nie powinny. To, że literatura popularna ma dziś oblicze Dana Browna, nie musi być normą. Jest wyborem, a wybór podlega ocenie; pod warunkiem, że jest wolny, a więc że istnieje alternatywa.

No i istnieje. Przekonałem się dowodnie, gdy z górnej półki jednego z regałów w maleńkim (miejskim) gabinecie apostoła e-booków bez dania racji posypały się zakurzone woluminy. Ich bliższe badanie ujawniło, że grunt pod nogami straciły dzieła pisarza, który stał na ziemi tak twardo, jak niewielu z nich. Na mojej ziemi nadal stoi.

Niestety, okazało się też, że jego dzieła, produkty PAXowskiej komuny, mają trwałość ideologii wydawcy. Kartki rozlażyły się w palcach. Ta część mojego księgozbioru głośno wołała o wymianę.

Nastawiony na długą, wyczerpującą korespondencję z antykwariuszami zasiadłem przy komputerze. I oto zdarzył się cud, pomniejszy może, ale bardzo miły. Odtworzyłem zbiór w ciągu pół godziny, ponosząc bardzo niewielkie koszty.

Mogę więc z czystym sumieniem napisać:

Niech mi nikt nie chwali współczesnej fantasty, a zwłaszcza nie zachwala jej „postmodernistycznym zacieraniem granic między fantastyką, a literaturą głównego nurtu”, jeśli nie czytał „Napoleona z Notting Hill”.

Ditto et caetera współczesna dystopia i „Latająca gospoda”.

Ditto et caetera fantastyczny thriller i „Człowiek, który był Czwartkiem”.

Ditto et caetera thriller sądowy i „Żywy człowiek”.

Ditto et caetera kryminał z elementami fantastyki i „Ksiądz Brown”. A jeszcze bardziej: „Poeta i wariaci”.

I jak wyżej, i tak dalej...

To wszystko jest do kupienia teraz, tutaj, bez wysiłku, nawet finansowego.

Niech jeden pisarz - którego dzieło w tej części, w jakiej kwalifikuje się do kategorii „fikcji literackiej”, w całości kwalifikuje się też do „literatury popularnej” - będzie ostrzeżeniem dla wydających dziś sądy. Ostrzeżeniem przed wydawaniem sądów zwyczajnie, po prostu mylnych.

Po angielsku Gilbert Keith Chesterton dostępny jest w całej swej okazałości.

Bardzo wiele Gilberta Keitha Chestertona, łącznie z jego „klasykami”, można znaleźć (po angielsku) w Projekcie Gutenberg.

Najważniejsze dzieła Gilberta Keitha Chestertona (z wyjątkiem „Żywego Człowieka”) dostępne są teraz, w tej chwili, w księgarniach internetowych oraz bezpośrednio u wydawcy. Za grosze.

Więc niech mi nikt nie tłumaczy, że to, co „ludzie czytają” – musi „spłacić dług” u „masowego czytelnika” byciem głupim jak but. Musi być niczym w stereo i kolorze.

Nie musi. I nawet nie powinno.

5. WYPRAWA Z SOLARIS TRAVEL (3)

Śladami Draculi i Turków osmańskich, czyli Wyprawa Transylwańska (6-21.08.2010 r.)

Poniedziałek 16.08. nie jest dla nas dniem szczęśliwym. Wyjeżdżamy ze Stambułu, co samo w sobie jest smutne, ale zanim docieramy do naszego nowego miejsca zakwaterowania, musimy wielokrotnie próbować tłumić w sobie negatywne emocje. Nerwowa atmosfera towarzyszy nam już od samego rana, gdy zapada decyzja o wędrowce z bagażami z hotelu do miejsca postoju autokaru. Ma to być ok. 100 m, faktycznie pokonujemy ok. 1 kilometra i to pod górkę. Temperatura otoczenia jest zabójcza, męczymy się okrutnie, więc niejeden z nas przeklina siebie pod nosem. Resztką sił docieramy do punktu docelowego i przekonujemy się, że nie wszyscy usłyszeli o zmianie miejsca zbiórki. Co więcej, trudno z nieobecnymi nawiązać kontakt. Paru twardzieli rusza na poszukiwanie zaginionych (Bóg im zapłać), reszta kona z powodu temperatury i duchoty. Całość operacji zajmuje ponad godzinę. Wykończeni, przepoceni wsiadamy do rozgrzanego autokaru.

Ruszamy powoli, chociaż „powoli” nie w pełni oddaje żółwią prędkość, z jaką z powodu korka opuszczamy Stambuł. Do granicy docieramy ok.14:00. Turcy przechodzą samych siebie. Po kontroli paszportowej podjeżdżamy do kontroli celnej, gdzie wędrujemy z bagażami do prześwietlenia. Z całej sterty waliz, toreb, torebek i innych pakunków do dokładnego przeglądu zostają wytypowane bagaże mój, Kasi, Marka i Studenta. Ostatecznie otwierane są: walizka Marka – zainteresowanie wzbudzą tureckie słodycze w „dziwnym proszku”, i torba Studenta z kolekcją pustych puszek po piwie. Szczęśliwie wszystko jest przepuszczane, ale cały ciąg zdarzeń zajmuje ok. 2 godzin. Po stronie greckiej największy problem stwarza brak listy pasażerów. Wojtek nie przewidział, że Turcy zabiorą nam aż trzy spisy travelowiczów. Cierpliwie podchodzimy z paszportami do naszego wkurzonego przewodnika i podajemy swoje dane. Wreszcie wjeżdżamy do Unii Europejskiej. Przed nami 350 km do Salonik i później ponad 200 km w rejon Meteorów.

W **Kalambace**¹ jesteśmy przed 23:00. Szybko zostawiamy bagaże w hotelu Rex i wygodniali wędrujemy do najbliższej tawerny. Czujemy pierwsze greckie smaki: tzaczyki, suvlaki i piwo Mynos. Zmęczenie niezwykle trudną drogą powoli mija, a mnie osobiście cała złość przechodzi, gdy tuż przed północą kupuję w sklepiku z pamiątkami grecką sukienkę. Sukienka jest prawie identyczna z tą, którą kupiłam w Kalambace przed 23-ma laty. Następnego dnia wiele koleżanek idzie w moje ślady i zaopatruje się w kolorowe ciuszki.



¹ Spotyka się też nazwy Kalampaka lub Kalabaka

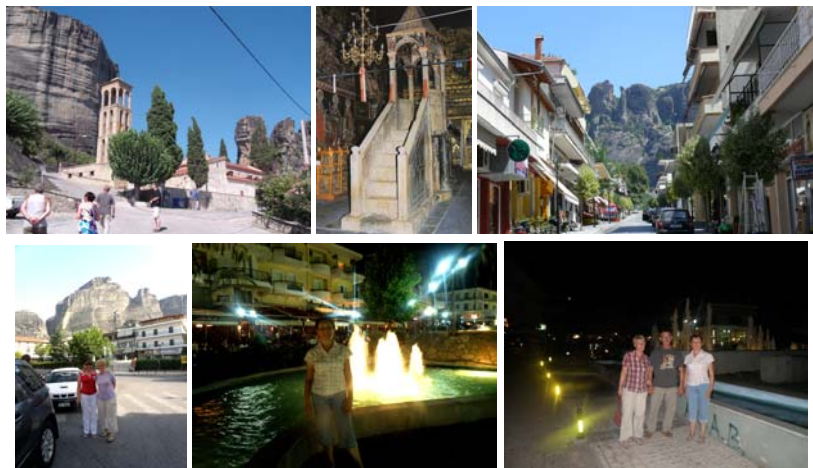
Wtorek poświęcamy na zwiedzanie **Meteorów**. Klasztory wtopione w niezwykle skalny krajobraz są pomnikiem światowego dziedzictwa kultury UNESCO. Niesamowitość otoczenia powoduje olbrzymie zainteresowanie wśród turystów i pielgrzymów. Dla nas jest to kolejne zwiedzane przez travelowiczów miejsce, w którym kręcono Bonda (tym razem "Tylko dla twoich oczu"). W sumie, na przestrzeni ok. 65 km² wybudowano 24 klasztory. Obecnie tylko sześć klasztorów jest zamieszkałych: cztery klasztory męskie i dwa żeńskie.

Zwiedzanie rozpoczynamy od klasztoru Świętego Mikołaja Odpoczywającego położonego tuż za wioską Kastraki. Podejście do niego nie jest trudne i stanowi małą zaprawę przed następnymi punktami programu. Później są kolejno: klasztor Warlaam (Warłam), klasztor Alias Triados (Św. Trójcy) i żeński klasztor Ajos Stefanos (Św. Stefana). Przy Warlaam, stojącym na drugiej co do wysokości skale Meteorów, przeżywam „deja vu”. Prawdopodobnie dzieje się tak za sprawą dobrze zapamiętanej przeze mnie z wcześniejszego wyjazdu charakterystycznej wieży z balkonem. Przed wielu laty wciągnano na nią za pomocą lin umocowanych na drewnianym kołowrocie zarówno mnichów jak i żywność. Obecna wyprawa na długo nie pozwoli mi zapomnieć o klasztorze św. Trójcy. Podejście do niego odczuwamy nie tylko w nogach i część osób odpada na trasie. Żałujemy, że przyjezdni nie mogą skorzystać z kolejki linowej dowożącej różności z poziomu parkingu. Ci, którzy docierają na szczyt, tłoczą się w pobliżu jedyne go źródła. Widok z góry na okolicę rekompensuje trudy. Szczęśliwie do ostatniego dla nas klasztoru żeńskiego dochodzimy od autokaru w pięć minut.



Późne popołudnie i wieczór spędzamy w Kalambace – każdy wybiera jakąś swoją indywidualną ścieżkę² (Marek na przykład zalicza topienie się w fontannie obfotografowane z wielką uciechą przez turystów). Nie znam opinii wszystkich naszych kolegów, ale co najmniej kilkoro, włącznie z nami, trochę żałuje, że na greckie klimaty mamy tak mało czasu.

² Wraz z Sokólskimi i Edkiem Kołakowskim wspiealiśmy się (przymykając od cienia do cienia, bo było paskudnie gorąco), aż pod skały do Kościoła Zaśnięcia Maryi Dziewicy – z pierwszej połowy XII wieku. Największym skarbem świątyni jest jedyna w Grecji marmurowa ambona. Wnętrze zdobią malowidła ściennie z XII wieku. W przedsionku wyryta jest złota bulla z 1330 roku cesarza Andronikusa – potwierdzająca przywileje biskupstwa Stagi. Wiercie mi, w tym kościele można było odczuć ciężar tych dziejących się wieków.



Następnego dnia zegnamy się z Grecją krótką wizytą na plaży w pobliżu **Katerini**. Słońce, ciepła woda i ... jeżowce. Większości udaje się uniknąć nieprzyjemnego kontaktu z tymi zadziwiającymi zwierzczkami, niestety kolec jednego szkarłupnia wbija się w stopę Iwony. Po kąpeli podążamy w stronę Bułgarii.



Tym razem granicy prawie nie zauważamy i zatrzymujemy się tuż za nią w **Melniku**. Z przykrością odnotowujemy fakt, że nie trwa tu zapowiadane przez Wojtka święto wina. Miejscowi nic o takim wydarzeniu nie wiedzą i muszą nam wystarczyć sennie knajpki. Niektórzy bardziej ambitni koledzy docierają pod przywództwem Wojtka na degustację do daleko i wysoko położonej piwniczki. Zdjęcia wykonane przy spożywaniu młodego, lanego prosto z beczek wina wskazują na to, że warto było pokonać upał i zmęczenie.

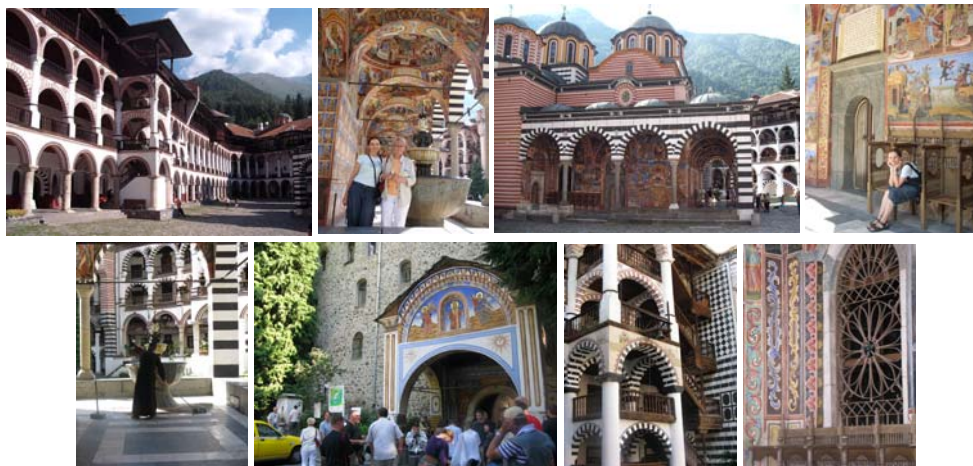


Ok. godziny 19:00 trafiamy na camping w pobliżu Monasteru Rylskiego. Przykro doświadczeni naszą pierwszą nocą w Bułgarii, tym razem mamy miłą niespodziankę. Camping przejęty przez prywatnych właścicieli położony jest nad rzeczką wśród porośniętych lasami gór i jest całkiem niezły. Wreszcie mamy odpowiednie miejsce do integracji – zbieramy się wieczorem nad mini basenem. Rej w wodzie wodzą męscy

członkowie rodziny Sedeńków, reszta towarzystwa zalega na krzesłach i leżakach. Przydają się oczywiście wina zakupione w Melniku.



Następnego ranka ruszamy wzmocnić się duchowo. Okolice **Monastyru Rylskiego** są przepiękne. Sam obiekt z Parkiem Narodowym Piranu znajduje się na Liście Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego UNESCO i jest to prawdziwa perełka. Kasia uznaje miejsce za najciekawsze na całej trasie naszej wyprawy. Z ochotą łapie aparat fotograficzny i powstaje wyjątkowo udana seria zdjęć. Budynki z łukami pomalowanymi w pasy i drewnianymi krużgankami otaczają dziedziniec. Centralną częścią dziedzińca jest cerkiew pod wezwaniem Świętej Bogurodzicy ze wspaniałymi freskami i ikonostasem. Szkoda, że we wnętrzu nie można pstrykać fotek. Ania, Krzysiu i ja decydujemy się jako jedyni z grupy zaliczyć jeszcze muzeum. Skarby w nim zgromadzone są nie tylko bardzo cenne, ale rzeczywiście niesłychanie gustowne. Wszystko mi się podoba: krzyże, ikony, misternie haftowane szaty liturgiczne i grafiki (wystawione są też matryce do ich wykonania). W ostatniej sali podziwiamy istne чудо – Krzyż Rafała rzeźbiony igłą przez 12 lat (twórca po skończeniu dzieła oślepl). W miłych nastrojach żegnamy monastyr.



Późnym popołudniem spotykamy się przy wspólnym grillu, parę osób wyrusza jeszcze na krótki wypad w góry (Piotrek po powrocie prezentuje zdjęcia żółwia spotkanego w czasie wędrówki). Dzień ponownie kończy się przy basenie i dociera do nas powoli, że wyprawa ma się ku końcowi. Przed nami jeszcze tylko maraton autokarowy, który rozpoczyna się następnego ranka. Na przejściu granicznym bułgarsko-serbskim spędzamy ok. 1.5 godziny z powodu „trzepania” autokaru rejsowego i wielu osobówek.





Serbia wita nas przyjaźnie pięknymi krajobrazami i uroczymi tunelami rzeźbionymi w skałach. I chociaż później okolice stają się dość monotonne, to i tak z 500 km przełotu zachowam przyjemne wspomnienia. O tym, że kraj ten rozwija się świadczy chociażby ilość budowanych w nim obecnie dróg. Na granicy serbsko-węgierskiej znowu korek. W samochodach głównie Turcy. Osobna ścieżka dla autokarów nieco skraca nam czas oczekiwania. Powoli zapada zmrok i stajemy się coraz bardziej głodni, a nie możemy już patrzeć na zupki w proszku. Wymuszamy na Wojtku nocną wizytę na stacji benzynowej, gdzie zaopatrujemy się w kanapki i napoje.

Nieco spokojniejsi jedziemy do pensjonatu Camelot w pobliżu miasta **Vac**. Urodę położenia pensjonatu możemy docenić dopiero po wschodzie słońca. Jesteśmy nad samym brzegiem Dunaju. Po wodzie przepływają barki i stateczki. Zachycamy się okolicą może 5, może 10 minut i po ostatnim zbiorowym zdjęciu ruszamy na zakupy.



Z supermarketu wychodzimy zaopatrzeni głównie w salami i tokaj. Niestety, w tym ostatnim dniu wyprawy nasi świetni kierowcy zostają na Węgrzech ukarani mandatem za niewielkie przekroczenie prędkości. Nie mogę nadziwić się temu, że kierowcom z wyjazdu szkockiego, łamiącym w zeszłym roku wszystkie podstawowe prawa ruchu drogowego, udało się pozostać niezauważalnymi dla przedstawicieli prawa, a tegoroczna super jazda tak się kończy.

Pierwsze rozstania przeżywamy na Śląsku, później odpada Pruszków i Warszawa. W Olsztynie towarzystwo jest koło północy. Niektórzy trafiają do domu dopiero nad ranem.



Tak więc za nami kolejna udana wyprawa. Dopiero teraz, po upływie pewnego czasu, zaczynam analizować to, co zobaczyliśmy. Po przejrzeniu paru tysięcy zdjęć jestem zadziwiona, że znowu daliśmy radę. Takim tempu zwiedzania i pokonywania wszelkich przeszkód mogą sprostać chyba jedynie fantaści. Dzięki Wojtek za pomysł zorganizowania czegoś tak odlotowego jak Solaris Travel.

anatomia Fantastyki w natarciu

Odhibernowanie krytycznoliterackiego projektu GKF wyszło AF na dobre: oto w odstępie trzech tygodni trafiły do rąk Czytelników dwie kolejne pozycje tej zasłużonej serii wydawniczej.

W latach 2001-2002 ukazały się tylko dwa numery magazynu, a przez następne blisko osiem lat – mimo kilku prób reanimacji – pismo uparcie milczało. Ostatecznie w roku 2010 oficjalnie zamknięto kwartalnik krytycznoliteracki, a na jego miejsce powołano serię wydawniczą.

Niedawno ukazało się drugie (zmienione) wydanie książki **Katarzyny Kaczor *Od Dracula do Lestata. Portrety wampira*** (AF #5). Jej wznowienie anonsowaliśmy już latem, ale dopiero na początku listopada przyszła z drukarni pierwsza partia oprawionych egzemplarzy.

Publikacja ta wychodzi naprzeciw niesłabnącemu zainteresowaniu wampiryzmem, a także zapotrzebowaniu na ten konkretny tytuł (dostyc regularnie otrzymywaliśmy zapytania o możliwość jej nabycia). Rozprawa Katarzyny Kaczor poświęcona jest jednemu z najmroczniejszych i wzbudzających skrajne emocje bohaterów kultury popularnej: wampirowi. Autorka śledzi jego metamorfozy na przestrzeni wieków i odkrywa zależności, jakie zachodzą między nim a kreującą go rzeczywistością. Ponieważ obraz krwio pijcy w ciągu tych dwunastu lat, jakie upłynęły od premiery *Portretów wampira*, zyskał nowe, zaskakujące rysy – Autorka uzupełniła i zaktualizowała swoją książkę. Jej studium zostało pogłębione przez odwołania do najnowszych badań, a także tekstów kultury, których wcześniej nie mogła ona znać; w efekcie opowieść Kaczor o historii krwio pijców zamyka się teraz pod koniec pierwszej dekady XXI wieku.

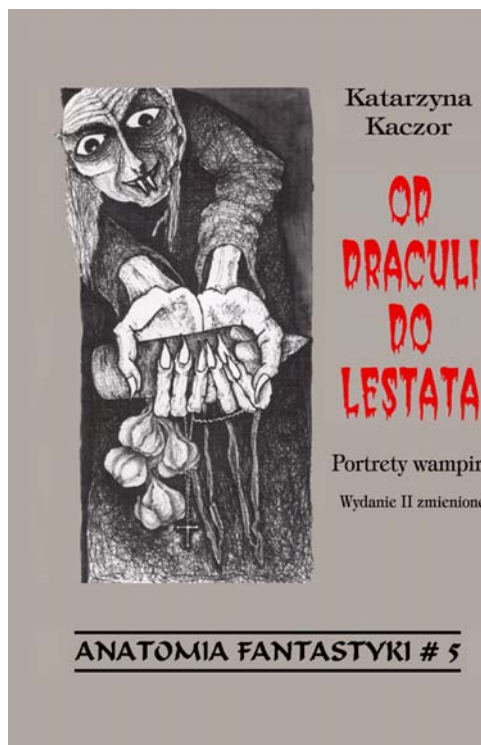
Prawdziwą niespodzianką dla Czytelników (oraz niemałym zaskoczeniem dla zespołu redakcyjnego) jest natomiast kolejna publikacja – czyli **Seryjne oblicza zła Radosława Swóła** (AF #15).

Tytuł ten, w sposób nie do końca przypadkowy, powiązany był z mottem tegorocznego Nordconu („casting na superbohatera”) – i na tym właśnie konwencie miał swoją premierę.

Podobnie jak wampir – również superbohater stał się w pop-kulturze wieków XX i początków XXI figurą symboliczną czy wręcz ikoną czasów, w których powstawał. Radosław Swół (absolwent polonistyki UG z seminarium, dobrze znanego czytelnikom AF, dr. hab. Jerzego Szyłaka) zabiera Czytelnika w intelektualną podróż z rysunkowym herosem przez dziesięciolecia – aby pokazać, jak zmieniająca się recepcja zła w kulturze masowej kształtowała oblicza bohaterów komiksowych seriali.

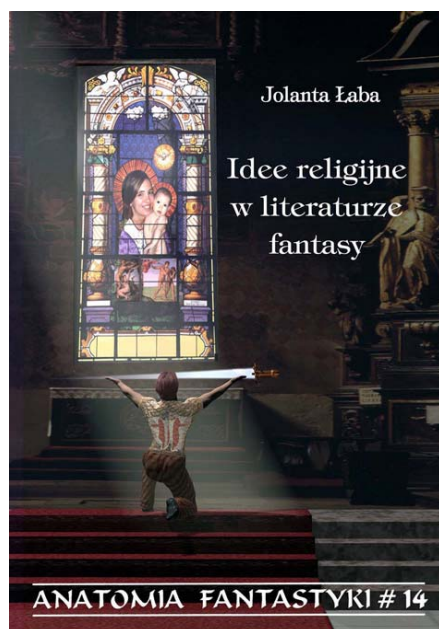
Aż trudno w to uwierzyć, ale książka Swóła to pierwsza w blisko 15-letniej historii AF publikacja poświęcona opowieściom z dymkiem. Również po raz pierwszy w historii wydawnictw GKF znalazły się w tekście kolorowe ilustracje!

Nie można nie zauważyć, że od momentu wznowienia serii są „Seryjne oblicza zła” trzecią publikacją wydaną w roku 2010! Przypominamy, że jako pierwsza w nowej formule ukazała się książka Jolanty Łaby „Idee religijne w literaturze fantasy”, będąca teologiczną refleksją nad tą popularną odmianą fantastyki.



Seria wystartowała zatem obiecująco (nawet w najtłustszych dla AF latach nigdy nie udało się nam opublikować większej liczby tytułów w ciągu jednego roku), a jej przyszłość w dużej mierze zależy teraz od Was Drodzy Czytelnicy i Waszej słabości do naszych publikacji. Jeśli będziecie je kupować, to my będziemy Wam dostarczać coraz to nowe tytuły (na rok 2011, rok jubileuszu 15-lecia AF, planujemy wydanie kolejnych trzech pozycji). Apeluję więc do Was: Czytajcie, wspierajcie, kupujcie Anatomię Fantastyki – jedyną taką serię wydawniczą w tej części Galaktyki!

W imieniu zespołu redakcyjnego
Grzegorz Szczepaniak





GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37

STRONA: www.gkf.org.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nac.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski, Michał Szklarski

OKŁADKA: bizarro

ZDJĘCIA z Nordconu: Piotr Derkacz, Radosław Kot, Krystian Krystkowiak, Artur Panek

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYŃNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 300

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

INFORMATOR

259

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji